

PEDAGOGICZNA
BIBLIOTEKA
WOJEWÓDZKA
Odańsk-Wrzeszcz
K. Marksa 14

~~XXXXXXXXXX~~
28146

POGADANKI OBYCZAJOWE

NAPISAŁ:

WŁADYSŁAW WITWICKI

**POGADANKI
OBYCZAJOWE**

POGADANKI OBYCZAJOWE

napisał
WŁADYSŁAW WITWICKI

WARSZAWA 1960

PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE

POGADANKI OBYCZAJOWE

UKAZAŁY SIĘ W LIPCU 1957 R. JAKO PIERWSZY TOM
ZBIOROWEGO WYDANIA SPUSCIZNY PIŚMIENNICZEJ

WŁADYSŁAWA WITWICKIEGO

OBECNE WYDANIE JEST REEDYCJA
WYDANIA PIERWSZEGO

k. 1824/00



28146

F





OD WYDAWCY

»Pogadanki obyczajowe« pisał Władysław Witwicki w ostatnim roku okupacji. W latach, gdy wszystkie normy etyczne okresu przedwojennego waliły się w gruzy. Barbarzyńska bezwzględność hitlerowskich metod, bombardowanie miast otwartych, odpowiedzialność zbiorowa, obozy śmierci, wyjęcie spod prawa całych narodów, niszczenie pomników cudzej kultury — a z drugiej strony odwet zwyciężonych, niebezpieczne na przyszłość hasła sabotażu, kradzież, podstęp, oszustwo, kula z zasadzki jako przejaw patriotyzmu i walki tych najlepszych, co nie chcieli ulec przemocy — to wszystko budziło obawę, jak będzie wyglądało społeczeństwo, a szczególnie młode pokolenie, gdy skończy się wojna. Jakie normy etyczne należy przekazać tym, którzy ocaleją z chaosu i stając do uczciwej pracy będą pytali samych siebie — jak żyć.

Pod wpływem tej troski profesor Witwicki zaczął pisać swoje pogadanki, zamykając w dwunastu rozdziałach podstawowe rozważania o tym, jaki powinien być człowiek żyjący w społeczeństwie.

Nie taki, który pracuje nad sobą i doskonali się wewnętrznie w oderwaniu od życia. Według autora postępowanie jednostki ważne jest przede wszystkim w stosunku do innych ludzi. „Nie wiem, czy namawiałbym kogokolwiek — pisał Witwicki w jednym z listów w 1939 roku — do podciągania się wewnętrznego. Raczej powiedziałbym: w ogóle nie troszcz się o poziom własnej duszy, o to, czy jesteś doskonała, czy jeszcze nie, czy taka, jak być powinnaś, czy jeszcze nie taka. Nie myśl w ogóle o swoim poziomie, a myśl o wszystkim, co poza tobą. O ludziach, o rzeczach, o sprawach — tylko nie o sobie samej. Własna osoba jako cel zainteresowań, to mi się wydaje zawsze małe

i niegodne zachodu. Tyle jest ciekawych rzeczy i ludzi na świecie, o których warto myśleć i warto im pomagać, zamiast »pracować nad sobą«. Diabła warta ta kosmetyka wewnętrzna.»

Natomiast konieczność kontroli wewnętrznej i wewnętrznego ładu ze względu na innych jest w przekonaniu autora czymś tak naturalnym, jak dbałość człowieka stojącego na pewnym poziomie kultury — o wygląd zewnętrzny.

„Człowiek cywilizowany uważa przecież na czystość własnego ciała i ubrania i nikt od niego nie żąda, żeby był szczerze i po prostu brudny. Strona moralna człowieka wymaga tak samo troskliwej uwagi i świadomej troski, jak ciało i ubranie.»

A kogo nazywał Witwicki człowiekiem kulturalnym? Tego, „kto potrzebuje i potrafi korzystać z wytworów kultury materialnej i duchowej ludzkości. A więc, myje się i goli częściej niż raz w tygodniu. Dbą o całość i czystość zębów i paznokci. Nie śmierdzi, nie roznosi wszy i pluskiew, nie wrzeszczy i nie potrąca ludzi. Opanowuje swoje odruchy i objawy afektów. Chodzi prawą stroną i jeździ zależnie od przepisów w danym kraju. Czyta gazety, książki i czasopisma. Kształci się w swoim zakresie najbardziej, a w innych ile możliwości. Umie wyrażać swoje myśli słowem i piśmem. Nie łamie praw współżycia ludzkiego, nie rozbija, nie kradnie, nie oszukuje, szanuje dobre imię drugich, jest dobry dla ludzi i zwierząt. Potrzebuje do życia dobrej sztuki i łagodnych obyczajów. Uczy się języków obcych. Dotrzymuje zobowiązań.” (z korespondencji z r. 1947)

Profesor Witwicki przez wiele lat swego niezwykle czynnego, twórczego życia stale obcował z młodzieżą. Jak mało kto rozumiał ją i kochał. Swymi pogadankami obyczajowymi pragnął pomóc jej, gdy stanie wobec konfliktów powojennego życia.

Trzydzieści lat czekały pogadanki na druk, który im dziś otwiera drogę do rąk i serc czytelnika, a szczególnie czytelnika młodego.

Pisane w r. 1944 musiały opierać się na przedwojennych warunkach społecznych i normach obyczajowych, a korzeniami sięgać do czasów młodości, do konfliktów słuchaczy

nie przyjechał albo się (243)
wyprawnie porcew niej
zastąpił. Tab. niżej
sublokator wynajmuje tylko
tęko w kącie a półnej ma pre-
teruje do dwóch pokoiów, ~~to~~
Kuchnia, sypialnia i piwnicy,
konieczni ich potrzebuje
i "Kryjówkę" go ci, co pamię-
tają warunki umowy i
czego przy nich został.
Nie wolno kładziono narzucać
obowiązków, których się
nie podjęli.

Koniec

psychologii, pierwszych najstarszych uczniów profesora, a więc do pierwszych dziesięcioleci XX wieku. Nieraz nawet do własnej młodości autora, to znaczy do lat osiemdziesiątych wieku ubiegłego. Okres ogromny, jeśli chodzi o zmiany obyczajowe.

Gdyby Autor żył dzisiaj, na pewno poddałby korekcie całość pracy, a szczególnie rozdziały, w których mówi o pojedynkach, będących już przeżytkiem dawnej epoki, o rozwodach, pracy kobiet i ich roli w małżeństwie, prostytutce — o tym wszystkim, co już w znacznej mierze sprostowało samo życie. Zostałyby także omówione szerzej niektóre zagadnienia, o czym świadczą notatki w rękopisie, np. „rozwinąć pojęcie szantażu” w rozdziale o poszanowaniu cudzej własności (str. 142). Brak również ostatniego rozdziału, który Autor miał zamiar dodać przed wydaniem książki, dając w nim jakieś ogólne podsumowanie rozważanych wspólnie z czytelnikiem zagadnień. Zapewne ostatni rzut oka samego Autora na przygotowany do druku rękopis wpłynąłby na pewne zmiany, poprawki stylistyczne, skreślenia, jakie zwykł on wprowadzać w korektach.

Zwracając uwagę czytelnika na te niedociągnięcia, które mogłyby usunąć nie wypaczając swych myśli tylko sam Autor, i na konieczność konfrontowania pewnych rozdziałów z biegnącym naprzód życiem, sam tekst »Pogadank« podajemy bez zmian i uzupełnień, w tej formie, w jakiej pozostawił je Autor.

Kazimiera Jeżewska

Warszawa, w marcu 1957 roku

I. CO TO JEST ETYKA POTRZEBA ETYKI ŚWIECKIEJ

WPROWADZENIE

Wyraz „etyka” jest pochodzenia greckiego. *Ethos* znaczy po grecku tyle co obyczaj. Zatem etyka znaczy bądź to nauka obyczajów, albo nauka o obyczajach. Jedno co innego i drugie. Dlatego też naukę obyczajów nazywają także etyką normatywną, a naukę o obyczajach różnych ludów, grup i epok — etyką opisową. Tutaj chodzi o etykę normatywną, czyli formułującą i uzasadniającą przepisy postępowania ludzkiego.

POSTĘPKI ETYCZNE WAŻNE I OBOJĘTNE

Mógłby ktoś zapytać: czy każdy przepis postępowania ludzkiego należy do etyki? Czy etyka obejmuje wszelkie przepisy wszelkiego postępowania? Czy tylko pewne, niektóre przepisy?

Otóż etyka obejmuje tylko niektóre przepisy postępowania i nie każde postępowanie ludzkie należy do etyki. Przepis na pieczenie babek i mazurków nie jest przepisem etycznym, przepisy kucharskie, chemiczne, artystyczne, drogowe, pocztowe — nie są przepisami etycznymi. Jeżeli jakieś postępowanie ludzkie nie naraża niczyjego dobra, jeżeli nikomu nie grozi żadną krzywdą, jeżeli nikt nie może przez

nie nigdy niesłusznie cierpieć — takie postępowanie jest etycznie obojętne i nie ma nic wspólnego z etyką. Na przykład: jeżeli ktoś stale nosi klucze w lewej kieszeni, a pugilares w prawej, jego nawyk nie ma żadnego znaczenia etycznego. Byleby to był własny klucz i nieskradziony pugilares. Jeżeli ktoś jada na śniadanie chleb z miodem lub marmoladą chętniej niż z masłem albo ze słoniną — to jego postępowanie jest obojętne etycznie, bo to nikomu drugiemu nie przynosi ani niesłusznej szkody, ani pożytku, ogranicza się do samej osoby działającej.

Jeżeli jednak ktoś, komu powierzono straż nad mieniem lub życiem innych ludzi, upija się i usypia albo się oddaje beztrosko zajmującej lekturze, wtedy jego postępowanie jest etycznie doniosłe, ma wartość etyczną ujemną, bo naraża dobro drugich. Tak samo człowiek dojrzały i zdrowy, który nic nie robi i nie stara się zarobić na swoje utrzymanie albo za nie zapłacić, postępuje źle, choćby nikomu bezpośrednio nie wyrządził szkody umyślnie, bo mimo woli zrzuca swoje utrzymanie na barki innych, staje się bezwiednie pasożytem.

W ten sposób postępkę i zachowania się obojętne etycznie *bezpośrednio*, nie wynikające z żadnych złych zamiarów, stają się nieraz doniosłe etycznie *pośrednio*. Dlatego, że ich dalsze, dające się przewidzieć skutki narażają lub umniejszają dobro drugich.

Gdyby ktokolwiek mógł żyć na bezludnej wyspie bez towarzystwa żadnych istot żywych, nie miałby żadnego pola do czynów złych ani dobrych, jego postępowanie byłoby zupełnie obojętne etycznie.

Ważność etyczna postępowania ludzkiego zaczyna się tam, gdzie się zaczyna jakakolwiek wymiana usług człowieka z innymi istotami żywymi. Tylko dla drugich ludzi, zwierząt, roślin może człowiek być dobry albo zły — dla siebie samego tylko pośrednio, ze względu na innych.

Tu się może nasunąć pytanie: Czyż nie istnieją obowiązki człowieka względem siebie samego? Oczywiście, istnieją. Zjawiają się zawsze, kiedy sobie człowiek coś w stosunku do siebie samego postanowi i chce tego dotrzymać wbrew przeszkodom zewnętrznym i własnym późniejszym zachciankom. Kto sobie postanowił wstawać przez miesiąc o świcie i odbywać ranne przechadzki, ten sobie sam stworzył nowy obowiązek względem siebie samego i powinien wcześniej chodzić spać, jeżeli chce swego postanowienia dotrzymać. Ale to nie jest obowiązek etyczny, tylko sportowy albo higieniczny.

A czy nie powinien człowiek dbać o swoje zdrowie, pogodę, przyzwoity wygląd, czystość, choćby go nikt nie widział?

Zapewne, że powinien. I wymagamy tego od każdego, ale i te wymagania stają się dopiero wtedy etyczne, gdy chodzi o wzgląd na innych ludzi, o to, żeby się nie zaniedbywać w pracy dla drugich i nie razić oczu ludzkich na ulicy, w domu i przy pracy. Poza tym, to będą tylko wymagania estetyczne, higieniczne, z zakresu kultury osobistej, ale nie: wymagania etyczne.

Można jednak przyjąć także umowę przeciwną i mówić o obowiązkach etycznych także i względem siebie samego, argumentując w ten sposób: „Jesteś

człowiekiem tak samo, jak inni ludzie, więc to samo, coś winien każdemu człowiekowi, winienes i sobie samemu. „Więc np. kto się bez potrzeby poddaje operacjom bez narkozy, ten postępuje tak samo niegodziwie, jakby komuś drugiemu zadawał ból niepotrzebny. Kto sobie życie odbiera, ten zabija człowieka. Kto trwoni własny majątek, ten doprowadza kogoś do ruiny, chociaż sam jest tym kimś. Kto się pozwala ograbiać i wyzyskiwać, ten dopuszcza do występku na swojej osobie i sobie samemu wyrządza krzywdę, wbrew zasadzie: „chcącemu nie dzieje się krzywda.” Tak samo robi, ktokolwiek nie broni i nie pilnuje swych praw.

ETYKA RELIGIJNA

Kiedy ludzie zaczynają jakoś ze sobą współżyć, a więc i współdziałać, wymieniać usługi, dzielić między siebie pracę albo w zabawie, albo na serio, dopiero wtedy zaczynają się wyróżniać złe i dobre etyczne sposoby postępowania, złe i dobre typy jednostek ludzkich. Zaczynają się zjawiać pochwały i nagany etyczne, nagrody i kary. Pochwały inne, np. estetyczne, mogą się zjawiać i wcześniej.

Zrazu ludzie automatycznie ganią i pozbywają się spośród siebie jednostek, które nie szanują życia, zdrowia, pracy i własności drugich, a chwalą i lubią typy postępujące przeciwnie. W ten sposób tworzą się zwyczajowe, niepisane, prawa i poczucia etyczne.

Z czasem prawodawcy spisują, ogłaszają i narzucają wszystkim członkom plemienia nakazy i zaka-

zy etyczne, czyli pewne prawa pisane. Ludzie łatwo wierzą, że prawa są nakazami bogów albo powstały z natchnienia bożego. Tak wierzyli np. Spartanie, Ateńczycy, Kreteńczycy, Rzymianie i Żydzi.

Obszerny i powiązany zbiór przepisów, dotyczących postępowania jednostki w stosunku do innych istot żywych, jakoś uzasadniony, a w związku z tym rozumowany wykaz zalet i wad, obowiązków i praw człowieka żyjącego wspólnie z innymi, nazywa się etyką, oczywiście: normatywną. Pierwsze najstarsze etyki, ponieważ uzasadniają przepisy postępowania ludzkiego z pomocą woli bogów i popierają swe nakazy i zakazy względami na groźby i obietnice bogów, są różnymi postaciami etyki religijnej.

Kapłani podawali się za jedynych piastunów i szafarzy objawień boskich w sprawie dobra i zła; głosili nawet, że Bóg niegdyś zakazał człowiekowi spożywać owoców z drzewa wiadomości dobrego i złego pod karą śmierci. Ta przenośnia znaczyła tyle: Masz gotowe przykazania: tak rób, a tego nie rób! A czemu tak, a nie inaczej, tego ci wiedzieć nie wolno. O tym nie będzie decydować twój rozum, tylko wola Boga.

Ten zakaz brania na rozum przepisów etycznych przyczynił się z pewnością do ich ustalenia i umocnienia. Nie byłoby najlepiej, gdyby każdy, zależnie od kaprysu, ochoty, chwilowej potrzeby osobistej, próbował sobie robić wyjątki od przykazań i mędrkował nad tym, czyby raz nie zabić i raz nie ukraść i raz nie świadczyć fałszywie albo w ogóle którąś z tych zasad odrzucić. Do dziś dnia przez długie wieki

uczają się dzieci w szkołach wyznaniowych etyki religijnej, każde w swoim wyznaniu, i tę naukę uważają starsi za jedyny fundament uczciwego postępowania w życiu.

ETYKA ŚWIECKA

Etyka religijna opiera się na wierzeniach religijnych. To znaczy: na opowiadaniach o Adamie i Raju, o Noem, o Abrahamie, Izaaku, Jakubie, Józefie, o Mojżeszu i o Jezusie. Dzieci przyjmują te opowiadania z przekonaniem, że dotyczą one zdarzeń prawdziwych, tak samo jak wiadomości zdobywane na lekcjach nauk przyrodniczych.

Wierzenia religijne rzadko kiedy trwają dłużej niż do okresu dojrzewania. Najczęściej u osób kształcących się rozwiewają się razem ze wspomnieniami szopki, św. Mikołaja i aniołków. Odlatują do krainy poezji wieku dziecięcego. Do wyjątków należą osoby, u których wierzenia religijne, nie zachwiane przez wykształcenie przyrodnicze, historyczne i filozoficzne, potrafią przetrwać do wieku dojrzałego. A ponieważ one były jedynym fundamentem teoretycznym zasad etycznych, więc od wieku dojrzewania począwszy zasady etyczne tracą w duszach ludzkich swój fundament. Tak się dzieje na ogół i to nie jest dobrze.

Dlaczego? Przecież w dziecięcych latach powinny by się na fundamencie wierzeń religijnych ugruntowywać pewne nawyki etyczne i działać dalej, kiedy ich fundament dogmatyczny przestanie być przedmiotem przekonań, a stanie się tylko wspomnieniem

marzeń dziecięcych. Czasem tak bywa, ale trudno o to. Trudno, żeby ktoś, jako człowiek dojrzały, szanował i oddawał pożyczone książki i opanowywał swoje odruchy nienawiści dlatego, że gdy miał sześć lat, wtedy św. Mikołaj przynosił mu pierniki, za to, że był grzeczny w ostatnim tygodniu i szanował książeczki dziecięce.

Przed człowiekiem dojrzałym stają nowe pokusy, których nie było w pokoiku dziecięcym, pojawiają się nowe, nie znane dzieciom kolizje, wyrastają nowe zadania, budzą się nowe potrzeby, otwierają się nowe możliwości działania i wstrzymywania się od działań. A nie każdy żyje w zaciszu klasztornym. Trzeba się zdobywać na postanowienia, chciałoby się żyć samemu i nie krzywdzić drugich. Warto by mieć w ręku jakiś sznur przewodni w trudnościach i na drogach rozstajnych — nie uczepony o chmury. Takim sznurem może i powinna by być etyka świecka.

Etyka świecka byłby to uporządkowany, jasny i ścisły zbiór przepisów: wskazań i zakazów, czyli norm postępowania jednostki we współżyciu z innymi ludźmi. Uzasadniony rozumnie i porządnie. Podobnie jak gramatyka albo stylistyka. Byłaby to pewna nauka praktyczna. Rzecz bardzo trudna. I do napisania, i do nauczenia się.

A do czego by mogła służyć? Czy wypadaloby się jej naprzód wyuczyć na pamięć i dopiero wtedy zacząć postępować? To na pewno nie. Bo przecież i mówić językiem ojczystym nie zaczyna nikt od wykucia jego gramatyki. Tak samo jak mówić uczy się człowiek sam, nie wiedząc kiedy i jak, przez na-

śladowanie tych, co dobrze mówią, tak i postępować etycznie uczy się człowiek nie z książki jakiegokolwiek, ale przez naśladowanie ludzi dobrych, dzielnych, z którymi się styka lub o których czyta.

Gramatyki albo stylistyki uczą się ludzie, żeby sobie wrodzone i wyrobione poczucie językowe uświadomić i zaglądnąć do nich w razie wątpliwości jakiegóż, kiedy chodzi o ocenę zwrotu własnego lub cudzego. To samo byłoby z podręcznikiem etyki.

Pogadanki etyczne nie mają być nawet podręcznikiem etyki. To tylko rozmowy, dalekie od ścisłości naukowej, na tematy związane z postępowaniem człowieka i z jego oceną. Rozmowy na temat obowiązków człowieka wobec drugich ludzi, jego zalet i wad. Nie mają nikogo nauczyć postępowania etycznego, nie dadzą mu rozwiązania wszystkich kolizji moralnych, w które go życie wprowadzi, mogą tylko pobudzić do myślenia nad zagadnieniami moralnymi, a to nikomu nie zaszkodzi.

II. STOSUNEK ETYKI RELIGIJNEJ DO SWIECKIEJ

NA CZYM SIĘ OPIERA ETYKA RELIGIJNA?

Kilkanaście przepisów etyki religijnej powtarzają sobie co dzień ludzie wierzący przy pacierzu. To są przykazania boskie i kościelne. W nich się streszcza to, jak ma człowiek wierzący postępować, jeżeli ma postępować dobrze i być dobrym człowiekiem. A dlaczego ma postępować właśnie tak, a nie wprost przeciwnie? Dlatego, odpowiada mu etyka religijna, że tak ci kazał postępować Bóg, kiedy swoją wolę objawił Mojżeszowi na Półwyspie Synajskim, i tak ci kazał postępować Kościół rzymski, któremu Bóg też swoją wolę objawił i kazał mu swoją wolę reprezentować na ziemi. Etyka religijna opiera swe nakazy i zakazy na objawieniu woli bożej, w które trzeba wierzyć. Cokolwiek nakazał Bóg i Kościół, to jest dobre. Czegokolwiek zakazał, to jest złe. Kiedy Bóg nakazał Abrahamowi pewnego razu, żeby zabił własnego syna na ofiarę, to było dobre w tej chwili. Kiedy innym razem nakazał Saulowi wyrząść wszystkich mieszkańców pewnego miasta w ziemi Chanaanitów, to było również dobre w tym momencie. Nie było rzeczą ani Abrahama, ani Saula zastanawiać się nad tym, czy nakazane im czyny są dobre, czy nie są, i dopiero na tej podstawie oceniać, czy dane nakazy mogą pochodzić od Boga, czy też są może jakimis



podszeptami własnego kaprysu i polegają na złudzeniu, na nieporozumieniu — ich rzeczą było nie sądzić i nie wahać się, tylko spełniać objawioną im wolę bożą, względnie to, co za rozkaz boży uważali. Tak samo człowiek wierzący nie powinien się zastanawiać i wahać, czy przykazania boskie i kościelne są dobre, czy nie są dobre, tylko powinien je spełniać i wierzyć, że za to będzie odpowiadał po śmierci.

Tomasz z Akwinu twierdził, że nakazy boże w dziedzinie etyki nie były wyrazem kaprysu bóstwa, tylko Bóg pewne sposoby postępowania zalecił, ponieważ widział, że tylko te były i są dobre. Zatem nakaz boży był i jest racjonalny, ma swój dobry sens. Jednakże etyka religijna nie zajmuje się bliżej dochodzeniem sensu nakazów bożych, wystarcza jej to, jeśli wykazać potrafi, że pewne postępowanie jest przez Boga lub Kościół nakazane.

FUNDAMENT ETYKI SWIECKIEJ

Niezależnie od stanowiska etyki religijnej próbowali ludzie od wieków uzasadniać jakoś reguły dobrego postępowania ludzkiego bez powoływania się na objawienie, tylko przy pomocy zdrowego rozsądku. I tak Platon np. sądził, że człowiek dobry to jest człowiek psychicznie zdrowy, a więc kierujący się rozumem, a nie ślepymi afektami. Postępowanie dobre to, zdaniem jego, postępowanie rozumne, a złe to tyle co głupie, krótkowzroczne, nieopanowane, chore. Tę myśl rozwijał szczegółowo i obszernie i w ten sposób rozpoczął pracę nad etyką świecką.

Myśli Platona rozwijał uczeń jego, Arystoteles, gło-

sząc, że dobro etyczne polega zawsze na zachowaniu pośredniej miary między skrajnościami i ten człowiek stoi etycznie wysoko, który potrafi zawsze wybrać drogę pośrednią, a nigdy nie popada w żadną przesadę ani ostateczność.

Kant sądził, że ta zasada działania jest etycznie dobra, która mogłaby obowiązywać wszystkich. A która by się nie dała utrzymać jako zasada powszechna — ta zła. Jakby tylko te buty były dobre, które się nadają do produkcji seryjnej.

Oto niektóre próby z zakresu etyki świeckiej.

Tu się niejednemu może nasunąć pytanie, czy to nie jest rzecz dowolna, co nazwać dobrym, a co złym postępowaniem. Byleby mieć władzę w ręku. Można by wydać prawo, według którego każdy obywatel byłby obowiązany używać na ulicy tylko lewej ręki, a prawą trzymać w kieszeni. Kto by ruszył prawą ręką albo ją pokazał, z tego ściągać grzywny na skarb państwa. Prędko by się skarb zaczął napełniać, gdyby obywatele byli dość potulni, a policjanci dość tani i liczni.

Tak kapryśnie nakazane postępowanie byłoby legalne, ale nie stałoby się przez to samo dobre, i używanie prawej ręki byłoby nielegalne, ale nie stałoby się przez to etycznie złe. Bywały takie rzeczy. W średnich wiekach prawo zabraniało zbyt długich nosów u trzewików, w wieku siedemnastym zbyt szerokich spodni, w dziewiętnastym, na początku, palenia cygar na ulicach, i to były szykany, ale nie nakazy etyczne. Dlaczego? Bo od tego nie zależało cierpienie we współżyciu ludzi z ludźmi. Można było

te nakazy usunąć bez żadnej szkody dla współzycia i współpracy ludzi w społeczeństwie.

Bywały w starożytności prawa nakazujące zarzynać w pewne dni świnie, owce i woły na cześć bogów. To były przepisy religijne, ale nie przepisy etyczne.

Dekalog zawiera, obok nakazów etycznych, nakazy czysto religijne.

Norma etyczna (nakaz lub zakaz) dotyczy postępowania jednostki ludzkiej w stosunku do innych istot żywych w ich pożyciu społecznym i ma na celu umożliwienie i ułatwienie im współzycia przez to, że zmniejsza ilość niebezpieczeństw i cierpień, jakie się ze współzyciem w gromadzie mogą łączyć.

Postępowanie moralne — to tyle co oliwa w maszynie społecznej. Zmniejsza nieuniknione tarcia i umożliwia bieg życia społecznego, nie psując maszyny społecznej. Etyka normatywna to racjonalny zbiór przepisów na ten smar i przepisy jego użycia.

Niejeden pomyśli, że najlepszym smarem w życiu urzędowym jest łapówka, a w prywatnym — zręczne kłamstwo. Jednakże łapówka psuje urzędnika i zagwaźdza urzędy dla klientów niezamożnych, a kłamstwo mści się i podkopuje zaufanie wzajemne. Są to więc smary bardzo szkodliwe.

Jak postępować, żeby drugim i sobie życia nie zatruić i nie utrudniać, tego można dochodzić zdrowym rozsądkiem nie sięgając do objawień i do woli bogów. Wiadomo przecież na ogół, czego się każdy zwykły człowiek musi obawiać, od czego cierpi i czego nie znosi. I można dojść zdrowym rozumem, bez

jakich przykrości i niebezpieczeństw po życie i współpraca ludzi potrafi się obyć. Etyka świecka jest możliwa.

A czy potrafiłaby człowieka złego zrobić dobrym? Tego nie potrafi zrobić żadna w ogóle etyka, a więc i świecka tego nie potrafi. Etyka świecka potrafiłaby tylko człowiekowi z natury i z wychowania dobremu wskazać drogi i metody postępowania, ale on sam musiałby chcieć nimi chodzić.

A czy ktoś chciałby sam z siebie postępować etycznie? Szanować dobro drugich?

Bardzo wielu jest takich. Wszystkie dobre dzieci i wszyscy uczciwi ludzie. Są przecież tacy. U nich się objawia samorzutnie skłonność do porządnego współżycia z drugimi w zabawie i w pracy, czyli instynkt społeczny. Człowiek jest z natury stworzeniem stadnym. Do wyjątków należą ci, którzy psują każdą zabawę i każdą pracę, z którymi żyć trudno albo wcale nie można. Wilki społeczne, wyrzutki, typy antyspołeczne. Tych żadna etyka nie poprawi i żadna się im na nic nie przyda. Ale zwykłym dobrym ludziom może się etyka przydać.

A na czym oprzeć jej nakazy i zakazy?

Na instynkcie społecznym i na zdrowym rozsądku, który się liczy z naturą ludzką.

Rzecz jasna, że etyką świecką może się doskonale interesować człowiek wierzący bez żadnej ujmy dla swej etyki religijnej. Kto się wybiera w podróż morską, nie błądzi, jeżeli się, oprócz błogosławieństw i modlitw, zaopatruje także w pasy ratunkowe. Nawet na wieżach kościelnych nikogo nie rażą zwyczajne gromochrony.

III. DETERMINIZM

A ODPOWIEDZIALNOŚĆ MORALNA

Determinare znaczy po łacinie tyle co określać, wyznaczać. Kto sądzi, że wszystko, cokolwiek się dzieje, wynika z konieczności z jakichś przyczyn i nie może się dziać inaczej, jak długo się coś nie zmieni w przyczynach, nazywa się deterministą. Kto się dobrze nie zna na pieczeniu ciast, bywa w tych sprawach indeterministą i mówi, że ciasto się raz udaje, a raz nie — jak samo zechce. Ale wytrawny kucharz tak nie mówi. On wie, od czego zależy udanie się ciasta lub nieudanie się, i wie, że kiedy wszystko było dane i zrobione tak, jak trzeba, ciasto musiało się udać, a jeśli się nie udało, to albo drożdże były złe, albo mąka stęchła, albo proporcja składników chybiona, albo ogień nie był właściwy, albo czas roboty, albo jej jakość nie taka, jak trzeba. Wtedy się ciasto udać nie mogło i musiało wypaść źle. Jeżeli chodzi o wypiek ciasta, nie ma miejsca na żadną niezależność od przyczyn, wszystko tam jest zawsze tak i tylko tak, jak o tym zdecydowały warunki, czyli przyczyna. Każdy dobry kucharz jest w swoim zawodzie deterministą. Tak samo mechanik, monter, stolarz i każdy w ogóle rzemieślnik wykształcony.

Nie zawsze robotnik zna przyczyny, które decydują o wyniku jego roboty, i stąd przysłowie rozpowszechnione u metalowców: „Giser leje, a czart wie,

co się w garnku dzieje". Mimo to i giser inteligentny też wie, że każdy błąd w jego wytworze musi mieć swoją przyczynę w materiale albo w robocie, w warunkach swego powstawania. Każdy przyrodnik wie z góry, że nic się nie dzieje na świecie bez przyczyny, ni z tego ni z owego, tak sobie — tylko dzieje się wyłącznie to, co się dzieć musi, a nigdy nie dzieje się to, co się dzieć nie może. Droga każdej kropli w wodotrysku jest najdokładniej zależna od warunków, które jej bieg wyznaczają, i droga każdego pyłku w powietrzu tak samo.

Dlatego można zjawiska przyszłe przewidywać i przeszłe odgadywać, jeżeli się zna ich warunki i prawa, które danych zjawisk dotyczą.

W wielu dziedzinach rzeczywistości już ludzie poznali prawa, których zjawiska słuchają. Dlatego można dziś bez pomyłki przepowiadać i odgadywać zaćmienia słońca i księżyca i pozycje gwiazd na niebie, dlatego można budować maszyny i wytwarzać materiały dawniej nie znane. Możliwa jest fizyka i chemia, bo w przyrodzie, którą nazywają martwą, nie ma miejsca na kaprysy, na żadne: „ni z tego ni z owego”, ani „tak sobie”, „bez żadnego powodu”. Tam wszystko jest z jakiegoś powodu i te powody w znacznej części są nam już znane. Tam, jeżeli się coś raz zdarzyło, to się na pewno przy takich samych warunkach zdarzy znowu i zdarzać się musiało zawsze, jeżeli tylko warunki były takie same. Gdyby zjawiska fizyczne nie wynikały z nieodpartą koniecznością zawsze z jakichś przyczyn, nie byłaby możliwa wiedza o nich, nie byłoby możliwe ich przewidywanie i odgadywanie.

A czy świat istot żywych jest też zdeterminowany, czy tylko świat minerałów, brył, ciał niebieskich i ziemskich? Czy można przewidzieć, którędy przeleci wrona i dokąd polecie wróbel? Gdzie się pojawią komary i w którą stronę będzie się rozrastało miasto?

Do pewnego stopnia można i takie rzeczy przewidywać i to tym pewniej, im lepiej się zna warunki życia istot żywych i prawa rządzące ich zachowaniem się.

Mało jeszcze znamy prawa przyrody żywej, ale pewne znamy. Dlatego nikt nie będzie ryb szukał na drzewach ani się bał o to, żeby mu wilki siana nie zjadły. Dlatego nikt kozy nie puszcza wolno w ogrodzie warzywnym, a do lisów i łasic nie przemawia, żeby oszczędzały życie jego kurcząt i królików. Na tyle każdy zna prawa przyrody żywej.

Przyrodnicy znają tych praw więcej. Dlatego umieją hodować zwierzęta i rośliny, wiedzą, czego można od nich oczekiwać, a czego oczekiwać nie wolno. Jest możliwa wiedza o zjawiskach życia, jest możliwe i tutaj przewidywanie i odgadywanie, jak się która istota żywa przy pewnych warunkach zachowa. Z góry wiadomo, że każda zachowa się tak, jak będzie musiała, i tylko tak, a inaczej nie będzie mogła. Wrona kracze, bo musi tak robić i nigdy piąć nie potrafi ani śpiewać jak słowik. I słowik też musi śpiewać w maju i w czerwcu, a nie może w październiku. A gdyby zechciał? On nie może w jesieni nawet zechcieć śpiewać — takie już jego prawo.

Czyż i ochoty istot żywych zależą od jakichś warunków? Tak samo jak zjawiska w przyrodzie martwej?

Na pewno zależą. Najlepiej o tym wiedzą hodowcy i przyrodnicy. Koty chcą spać w dzień, a psy w nocy. Bociany chcą odlatywać tylko w jesieni, a na wiosnę nie mogą tego chcieć. Mnożyć się chcą zwierzęta z wiosną i muszą tak chcieć wtedy. To najwłaściwszy czas i to mają jakoś w swojej budowie ugruntowane. Zwierzę o pustym żołądku musi chcieć jeść. Po zjedzeniu soli musi chcieć pić, a po zmęczeniu — spać. Chęci i niechęci istot żywych powstają i ustają zależnie od pewnych warunków zewnętrznych i wewnętrznych tak samo jak zjawiska w przyrodzie martwej i zjawiają się według pewnych praw. Raz muszą powstawać, a raz nie mogą powstawać.

Życie duchowe istot żywych i zachowanie się ich wydaje się tak samo zdeterminowane pewnymi przyczynami i prawami, jak świat fizyki i chemii. Tylko my mało jeszcze znamy prawa życia duchowego i zachowanie się istot żywych i dlatego ich zjawiska duchowe wydają się niejednemu kapryśne i od niczego niezależne, wolne.

To jest złudzenie. Gdyby jakakolwiek dziedzina zjawisk była naprawdę wolna, nie zdeterminowana w żaden sposób, nikt by w niej nie mógł nigdy niczego obliczać, odgadywać i przewidywać bez pomyłki. My jednak umiemy do pewnego stopnia przewidywać i odgadywać, i tłumaczyć życie duchowe istot żywych oraz ich zachowanie się. To dlatego, żeśmy poznali niektóre prawa rządzące tą dziedziną.

Bezwiednie uznają determinizm powszechny ci ludzie, którzy wierzą, że Bóg wie wszystko i przewiduje wszystko bez najmniejszej niepewności i pomyłki. Jeżeli Bóg może wszystko przewidywać i nigdy się

pomylić nie może ani w swym przewidywaniu zawahać, to wszystko musi nieuchronnie dziać się tak, jak się dzieje i dziać będzie. Wedle determinizmu wszystko jest jakoś wyznaczone prawami i przyczynami. Nie stanowią wyjątku pragnienia, postanowienia i zachowania się człowieka. Każdy człowiek jest taki, jakim być musi, i postępuje tak, jak postępować musi. Decydują o tym jego skłonności wrodzone i nabyte w ciągu życia oraz warunki zewnętrzne. Człowiek z natury chciwy i bezwzględny, nie przyuczony i nie nawykły do szanowania cudzej własności, głodny i ubogi a zostawiony bez dozoru — musi kraść. W tych samych warunkach zewnętrznych, w których inny, nie tak chciwy i nawykły od dziecka do szanowania cudzej własności, nie będzie kradł, bo nie może. Przeszkodzi mu własna natura i wychowanie.

Byłoby błędem sądzić, że każdy człowiek w równym stopniu może zawsze postępować dobrze lub źle. Znaczyłoby to od każdego człowieka jednakowo oczekiwać zarówno zła, jak i dobra. Ci, co się znają na ludziach, sądzą inaczej i wiedzą, że po jednych wolno się spodziewać czegoś dobrego, a od innych należy oczekiwać złego.

A czy się nigdy nie mylimy co do tego? — Owszem. Bardzo często. Bo nie znamy ludzi dostatecznie i nie umiemy nieraz dojrzeć ich ukrytych sprężyn. Gdybyśmy je zawsze znać mogli, nie spotykałyby nas zawody i niespodzianki. Istota wszystkowiedząca i nie mogąca się mylić nigdy widziałyby dopiero jasno i oczywiście nieuchronną konieczność każdego czynu ludzkiego — zarówno czynów złych, jak i dobrych. My się tej konieczności tylko domyślamy z góry, ile

razy próbujemy jakiś czyn ludzki pojąć, zrozumieć, wytłumaczyć. Robi się to na każdej większej rozprawie sądowej i znajduje się to w każdej lepszej powieści, w analizie dramatu lub komedii. Deterministą staje się każdy, kto próbuje jakikolwiek fakt wytłumaczyć, bo tłumaczyć fakty to nic innego, jak wskazywać przyczyny, z których one zawsze nieuchronnie, a nieraz i oczywście wynikają.

I tu się niejednemu mogą nasunąć pytania, czy można ludzi pociągać do odpowiedzialności, a więc chwalić ich i ganić, nagradzać i karać za ich postępowanie, jeżeli to postępowanie jest zawsze koniecznym następstwem jakichś przyczyn? Czy może człowiek być winien swego czynu, skoro on ten czyn popełnić musiał, jeżeli się już taki urodził, tak wychował i w takie wpadł okoliczności?

Czy godzi się chwalić i nagradzać dobrego artystę, bohatera i człowieka zacnego, skoro oni się już takimi porodzili i tak wychowali i już nie mogą postępować brzydko i źle?

Czy wszystko zrozumieć nie znaczy to: wszystko wybaczyć? Czy godzi się budować więzienia dla ludzi, których natura i wychowanie skazały na życie złe? Czy warto budować pomniki dla ludzi skazanych na wielkość i tworzenie pięknych dzieł? Krótko mówiąc: czy determinizm nie znosi i nie przekreśla odpowiedzialności moralnej?

Odpowiedzieć wypada, że jest wprost przeciwnie. Dopiero determinizm nadaje dobry sens odpowiedzialności moralnej, pochwałam, naganom, nagrodom i karom.

Bo zastanówmy się, jak to i kiedy chwalimy i ga-

nimy przedmioty nieżywe. Oczywiście, że chwalimy je wtedy, gdy się nam wydaje, że stale potrafią nam oddawać usługi albo robić przyjemności, a ganimy je, gdy się nam wydaje, że stale gotowe nam wyrządzać szkody albo sprawiać przykrości. Stale, bo kiedyż pióro do pisania jest złe i do niczego? Jeżeli raz przypadkiem zrobiło kleks, bo coś się tam do niego przyczepiło chwilowo? Wtedy nie! Dopiero wtedy, gdy tak jest rdzą przejezione albo nadłamane, że musi nieuchronnie i stale robić kleksy i zalewać, a naprawić go nie można.

I nie to ubranie jest złe, w którym nam raz kiedyś było zimno i ono przemokło, gdyśmy stali pod rynną. Tylko zrobione z nie dość złego przewodnika ciepła i tak cienkie, że *musiałoby* nam w nim być zimno i mokro stale, przy każdej sposobności. Jeżeli da się pokryć albo podszyć lepszym materiałem, warto je przerabiać, ale jeżeli się naprawić nie da, wypadnie je zdegradować na szmatę do podłogi, a w końcu wyrzucić i może będzie z niego jakiś papier. I but wtedy idzie na śmietnisko, i stara miednica, i czajnik, kiedy już służyć nie mogą, choćby miały ochotę, a żadne poprawki im nie pomogą.

Z drugiej strony chwalimy scyzoryk nie wtedy, gdyśmy nim raz albo dwa z powodzeniem przecięli papier, tylko wtedy, gdy jego ostrze jest z hartowanej stali i nie może się zbyt prędko stępiać, tylko *musi* nam służyć i długo, i dobrze. Gdy się stępiło, poprawiamy je na kamieniu, choćby syczało przy tym i zgrzytało. To nie jest zemsta z naszej strony, tylko zabieg poprawczy. Scyzoryk robi się przez to lepszy.

Ogólnie mówiąc: przedmioty martwe ganimy za

ich wady konieczne i chwalimy je za ich zalety konieczne i dopiero zrozumienie konieczności ich działania złego lub dobrego nadaje jakiś sens pochwałom lub naganom pod ich adresem i sens zabiegom poprawczym.

Nie inaczej jest, gdy idzie o istoty żywe. Dopiero to jest dobry wierzchowiec, który tak jest zbudowany i z takiej rasy pochodzi, że *musi* dobrze jeźdźcowi służyć. I krowa ta dopiero dobra, która *musi* dawać dużo mleka, a nie ma co chwalić tej, której się to raz udało, ale to się u niej nie musi powtórzyć, bo nie jest ugruntowane w jej naturze.

I wilków nikt by nie tępił, gdyby nie *musiały* zabijać baranów i wytwarzać sobie ciepłych futer na zimę. I wesz tylko dlatego jest znieawidzona, że *musi* wysysać krew z ludzi i zaszczepiać im zarazki chorobowe. Trawą się nie pożywi i jest z natury skazana na życie pasożytnicze, jeżeli nie zechce zginąć. A tego nie chce żadna zdrowa istota żywa.

Słowem tylko konieczne zachowania się istot żywych stanowią o ich wartości dodatniej i ujemnej. I tylko zrozumienie tej konieczności nadaje sens pochwałom i naganom pod ich adresem.

Nie stanowi wyjątku zachowanie się człowieka ani jego zalety i wady. Przecież dobrym mówcą nie nazwiemy tego, o którym nigdy nie wiadomo, czy będzie mówił wyraźnie, jasno i zwięźle, czy też będzie się jąkał, plótł i rozwlekał, tylko tego, na którego można liczyć i nie narazić się na zawód co do efektu przemówienia. Dlatego że ten człowiek, gdy mu na tym zależy, *musi* mówić dobrze. Ma do tego warunki fizyczne i skłonność.

A czy dobry mówca nie potrafi nigdy mówić źle? Potrafi. Gorzej niż ktokolwiek, jeżeli będzie mu szło o żarty, o udawanie, o przekorę, o pokaz złej wymowy albo będzie wyczerpany fizycznie, senny, chory, odurzony. W tych warunkach będzie musiał mówić źle, ale w warunkach normalnych musi mówić dobrze. I za to się go słusznie chwali.

— Jakto „musi”? Czyż ten, który sam chce, to musi?

— Jeżeli chce i może, to musi. Kto chce kichnąć i może kichnąć, ten musi to zrobić. Kto chce biegać i może, a nikt mu nie przeszkadza, ten musi biegać.

— Ależ chyba tylko ten musi, który sam nie chce, ale ktoś drugi go zmusza.

— Zapewne że i ten. Zmuszać, to często nic innego, jak tylko: robić tak, żeby ktoś zechciał w końcu, choć zrazu nie chciał i nie chciałby dalej, gdyby zewnętrzny przymus ustał. Ale nie tylko ten musi, na kogo działają przymusy zewnętrzne, jakieś pięści, baty, krzyki, strachy, groźby. Przymuszać kogoś można i prośbami, łzami, uśmiechem, ba nawet: argumentami, dowodami.

Jak długo ktoś nie chce, to nie musi, a nawet nie może. Brak mu ważnego wewnętrznego warunku do działania. Jeżeli się ten warunek zjawi, a nie zajdą zewnętrzne przeszkody niepokonane, działanie zjawi się z konieczności. Będzie umyślne i będzie konieczne zarazem. Ktoś zechce i będzie musiał.

— Jakże to? Kto chce, ten musi? Kto nie chce, ten nie może? A przecież zawsze albo ktoś chce, albo nie chce i nic trzeciego chyba nie zachodzi nigdy? W takim razie zawsze albo się musi, albo się nie mo-

że? A kiedyż się właściwie może? Czy na to w ogóle nie ma miejsca? Nic, tylko zawsze przymus dodatni lub ujemny? A możliwość czy nie zachodzi nigdy?

— Zachodzi i jest na nią miejsce. Możliwym nazywamy to, czego, zdaniem naszym, nic nie wyklucza, ale nie wiemy, czy je coś do istnienia zmusza, czy nie. Tylko rzeczy, o których nie wiemy, czy być muszą, a sądzimy, że nic im nie przeszkadza istnieć, nazywamy możliwymi. Pytają mnie, czy w tej chwili pada deszcz o sto mil ode mnie. Jeżeli, moim zdaniem nic tam deszczowi padać nie przeszkadza, ale nie wiem też, czy coś tam deszcz w tej chwili wywołuje, odpowiadam, że deszcz w tej okolicy jest możliwy. Gdybym miał wiedzę obszerniejszą i pewną, wiedziałbym, czy deszcz tam jest, bo byłby konieczny, czy też go tam nie ma, bo nie jest możliwy. Ponieważ nie wiem, jak jest, mówię: „Deszcz jest możliwy”. Znaczy to tyle co: „Wiem tylko tyle, że go nic nie wyklucza, ale nie wiem, czy go coś padać zmusza”. Gdybym był wszystkowiedzący, nie mówiłbym o żadnych zjawiskach możliwych, tylko o istniejących, a więc i koniecznych, i o nie istniejących, czyli niemożliwych. Dawniej, dziś lub w przyszłości.

Tak i o ludzkim działaniu, bliżej nieznanym, powiem, że ono jest możliwe, jeżeli sądzę, że go nic nie wyklucza, a nie wiem, czy je coś wywołuje.

— Więc czy człowiek może się wstrzymać od picia, kiedy jest spragniony?

— Tylko człowiek wstrzemięzliwy, czyli zdolny do opanowywania swoich pragnień, więc człowiek rozumny i nawykły do opanowywania siebie. U niego nic nie wyklucza powstrzymania się.

— A człowiek głupi i niewstrzemięzliwy?

— Taki się nie opanowuje. Jakżeby mógł, skoro nie ma czym swoich pragnień hamować i dlatego się nazywa nieopohamowany, niewstrzymały, nieopanowany.

— Więc czy można człowieka mądrego i opanowanego chwalić za to, że jest mądry i opanowany, skoro on nie może ulegać głupim zachciankom i z konieczności jest taki, jaki jest?

— Można. I trzeba. Właśnie dlatego.

— A czy można ganić głupiego i nieopanowanego, skoro on nie może postępować rozumnie?

— Wypada go ganić. Właśnie dlatego że, jak długo jest głupi i zły, nie może postępować dobrze.

— A czy warto pracować nad sobą i uczyć się, i chcieć się stawać z głupiego mądrym i dobrym? Jeżeli stan obecny jest stanem koniecznym? A przyszły też? Czy warto do czegokolwiek dążyć, usiłować, starać się, chcieć coś osiągnąć, skoro owoce usiłowań albo są niedostępne i nie ma ich w przyszłości, albo są konieczne i czekają nas w przyszłości?

— Warto. Ratuje nas nasza niewiedza. My nie znamy przyszłości i nie wiemy, które i jak wysokie osiągnięcia są nam pisane i nie znamy naszych własnych sił ukrytych, a tym samym nie znamy możliwości otwartych przed nami. Losy są dla nas zakryte i dlatego warto je ciągnąć. To wiemy, że bez wysiłków nie osiągniemy żadnych wyników. Kto w ogóle opuszcza ręce, temu pisana jest przegrana. To wiemy. A czy nie leżą przed nami najpiękniejsze wyniki usiłowań rozumnych, tego nie wiemy. Jeżeli ich nic nie wyklucza, to są możliwe. Jeżeli nie wiemy, żeby

je coś miało wykluczać, uważamy je za możliwe. Warto do nich dążyć i próbować, podjąć ryzyko. Kto coś wart, ten dąży i niech dziękuje niebu, że nie wie, czy wygra, czy przegra. Dlatego właśnie może usiłować i może wygrać.

Pokazuje się, że nasza niewiedza jest niekiedy bardzo cenna. Otwiera przed nami możliwości osiągnięć, bo pozwala nam w nie wierzyć, spodziewać się i dążyć do nich. Z drugiej strony, niewiedza prowadzić może do klęsk. To wtedy, gdy dążymy do celu, który jest wykluczony z rzeczywistości przyszłej, bo jest w ogóle niedostępny, a my o tym nie wiemy i zdaje się nam tylko, że go nic nie wyklucza. Determinizm nie paraliżuje rąk. Chroni tylko od przedsięwzięć lekkomyślnych, z góry skazanych na niepowodzenie w sposób widoczny.

A jak się przedstawia sprawa kary z tego punktu widzenia? Czy determinista może wymierzać kary?

— Dopiero on może to robić z sensem. Tylko że kara nie będzie z tego stanowiska środkiem do wywarcia zemsty, odwetu, zadośćuczynienia; stanie się środkiem unieszkodliwiającym przestępcę, odstrasżającym innych, i próbą poprawy osobnika zepsutego. To wielka różnica. Odpadnie z niej wszelkie niepotrzebne dręczenie ludzi i pastwienie się nad nimi bezcelowe.

Kara to wyznaczone i zapowiedziane prawem przykre następstwo czynu zabronionego. Obawa kary może się stać pobudką do unikania przestępstw. Dlatego kary sądowe i policyjne zapowiada się w ogłoszeniach po zakątkach murów szczególnie narażonych na zanieczyszczanie. W więzieniach nowo-

czesnych uczą ludzi czytać i pisać, uczą ich jakiejś pożytecznej pracy, aby mieli chleb w rękę i nie musieli go szukać na drogach zakazanych. Po wyjściu z więzienia roztacza się opiekę nad byłymi przestępcami, aby nie popadali w nowe pokusy do przestępstw i nie byli zmuszeni wracać na drogi zakazane. Te wszystkie i tym podobne metody są oparte na przekonaniu, że przestępstwa są koniecznymi następstwami pewnych warunków i te warunki są w znacznej części od nas zależne. Jeżeli je zmienić na lepsze, zmniejsza się ilość przestępstw. Kary rozumnie pomyślane mogą być doniosłym czynnikiem poprawczym, unieszkodliwiającym i odstraszającym. Nigdy odwetowym. I tak się kończy odpowiedź na niepokojące pytania w związku z determinizmem.

Przeszliśmy rozważania może nieco suche i trudne — warto by te sprawy rozpatrzyć na konkretnych prostych przykładach.

Mały Staś usłyszał coś o determinizmie i mówi do ojca: „Mam stale słabe noty z łaciny, bo widocznie mam niewielką zdolność do języków i nie mam zamiłowania do tego przedmiotu. Łacina robi mi trudności i wcale mnie nie pociąga. Powinien tato mieć wyrozumienie dla mnie i nie żądać ode mnie rzeczy niemożliwych”.

- A co jest w tym wypadku niemożliwe?
- Dobry postęp w łacinie.
- A czy ty robisz co dzień zadania?
- Nie codziennie, żeby prawdę powiedzieć. Właśnie dlatego, że to trudne i nudne.
- Nic dziwnego, że nie robisz postępów, jeżeli nie

pracujesz. Postęp przy próżniactwie jest niemożliwy. To pewne. Ale pilnować zadań mógłbyś jednak.

— Nie mogę, bo mnie nudzą.

— Jakto? Przecież nie każdy obowiązek jest zabawny. Można i nad nudną robotą posiedzieć, jeżeli się ma poczucie obowiązku.

— Ja go nie mam, widocznie.

— To bardzo smutno i brzydko z twojej strony. Powinieneś się wstydzić tego niedbalstwa.

— Ja jestem otwarty i nie chcę udawać lepszego, niż jestem.

— Więc oświadczasz, że jesteś bezwstydnym próżniakiem?

— Czy tato musi używać takich mocnych wyrazów?

— Muszę przecież. Streszczam tylko twoją myśl.

Czy trafnie?

— Właściwie, tak. Ale to przykre rozmowy. Wszyscy mają do mnie pretensję o to, że jestem właśnie taki, jaki jestem. Nie moja wina, że się taki urodził i taki wyrósł.

— Ani ty nie wiesz, ani ja, jakim się urodziłeś, widzimy tylko, co z ciebie wyrosło w tej chwili. To jest smutne. Bo jeżeli tak pójdzie dalej, to przypadną dla ciebie pieśni Horacego i muzyka okresów Cicero-
na, i ścisłość Tomasza z Akwinu, i myśli Spinozy, i akta do dziejów Polski, i treść nabożeństw kościelnych, i podstawy języka francuskiego, włoskiego i angielskiego; będzie z ciebie człowiek mało oświecony. Lekarzem, księdzem, przyrodnikiem, a nawet aptekarzem nie będziesz mógł zostać. Ciemnota to nie jest rzecz piękna i warto od niej uciekać. Czy ona cię wcale nie przeraża? A oprócz tego, na półrocze

przyniesiesz zły stopień i mama się zgryzie bardzo. Nie zależy ci na tym? A twój sąsiad w ławce pisze doskonałe zadania łacińskie, jak słyszałem. Nie chciałbyś mu dorównać? Nie chciałbyś słyszeć, że i ciebie chwala za obowiązkowość? Że cię podają za przykład drugim? Jeżeli mi powiesz, że ambicji nie masz i wolisz zostać, jak jesteś, to popsują się stosunki między nami. Boję się, że nie będę mógł cię kochać, jak będziesz dalej taki niezdarzony, jak jesteś.

A twoje mędrkowanie jest kulawe i popraw je sobie. Podajesz się za tumana i leniucha urodzonego, za niezdolnego do wysiłków i do systematycznej pracy. To są na razie lekkomyślne twierdzenia wyssane z brudnego palca, na których się wysypiasz jak na poduszce. Nie znasz siebie, nie wiesz, do jakich wysiłków byłbyś zdolny, gdybyś tylko chciał. Nie wolno ci mówić, że nie potrafisz, dopóki wszystkich sił nie dołożysz do zadania, które przed tobą stoi. Tego nie robisz i już z góry opuszczasz ręce i wymawiasz się, że nie potrafisz. Spróbuj! Potem mów! A najlepiej mówienie ocen zostaw innym — to nie twoja rzecz. Twoja rzecz pracować — choćby do upadłego, a nie gadać. Sam dziś nie możesz wiedzieć, czy w tobie nie siedzi autor przyszłych rozpraw łacińskich i czy właśnie w tym kierunku nie pójdą twoje przyszłe zamiłowania. Nie udawaj, że siebie znasz, bo nie masz podstaw do tego, żeby na siebie już dziś wydawać przedwczesne wyroki — w tym celu, żeby się na nich wysypiać.

Tak mówił ojciec, a jego przyjaciel powiedział mu potem: „Ty swego chłopca tylko psujesz tym, że

się z nim wdajesz w dyskusje filozoficzne. Ja bym z nim krócej pogadał, a dobitniej, i widziałbyś, żeby mu prędzej pomogło. Jemu potrzeba twardszej ręki na razie, a nie filozofii. Widzisz, jak mu się odbija twój determinizm. Za dużo gadania u was. Daj go do szkoły wojskowej. Tam go oduczą postawy leniwej a bezczelnej. Dopiero tam się pokaże, co potrafi, a czego nie potrafi. Na razie wychowałeś go na pyskatego wałkonia.”

Ta rozmowa nie jest oparta na żadnym protokole, ani nawet na wspomnieniu żadnym — jest sztucznie ułożona tak, żeby na przykładzie pokazać, jak młody człowiek nieraz robi zły użytek z determinizmu, jak drugi, starszy, próbuje go nakłaniać budząc w nim to takie, to inne podbudki do działania, i jak inny podsuwa mu myśl o wprowadzeniu pobudek, zdaniem jego, bardziej skutecznych, a łatwiejszych w użyciu. Nie przychodzi mu na myśl, że twarda ręka może czasem chłopca złamać, zamiast nim pokierować — i może nauczyć cichego oszustwa i obłudy, i wykopać przepaść między wychowawcą a wychowankiem. Najłatwiejsze środki wychowawcze nie zawsze są najlepsze. Wszystko zależy od wrodzonych skłonności młodego człowieka. Trzeba znać instrument, na którym się chce grać.

IV. O RELATYWIZMIE ETYCZNYM

Przyszedł raz młody Janek do starego Władka i powiada: — Jak to właściwie jest z tym dobrem i złem? Czy jest na świecie jakiś czyn dobry zawsze i wszędzie, i dla każdego? Albo zły zawsze i wszędzie, i dla każdego? Czy też czyn dobry dla jednego, może być zły dla drugiego, i dobry dziś, może być zły jutro, i dobry tutaj, może być zły gdzieś indziej, i jeden i ten sam czyn czy nie może być równocześnie zły i dobry zarazem? Na przykład dla mnie dobry, a dla mojego wroga zły, i na odwrót.

— Z tych wielu pytań można zrobić jedno dla krótkości.

— Jakie?

— Takie: Czy istnieje dobro i zło bezwzględne, czy też zło i dobro są zawsze względne?

— Właśnie takie pytanie mam przed sobą.

— A skłaniasz się w tej chwili do odpowiedzi jakiej? Że dobro i zło są zawsze względne czy raczej bezwzględne?

— Raczej mi się wydają zawsze względne.

— To znaczy, że skłaniasz się do relatywizmu etycznego.

— Skoro to się tak nazywa, to skłaniam się, ale się przy nim nie upieram. Rad bym tę sprawę rozpatrzył.

— To spróbujemy. Powiedz naprzód, co cię skłania do relatywizmu. Co ci za nim przemawia?

— Co? Przecież każdy, kto sam lubi kraść, nie lubi, jeżeli go okradają inni. I tam dalej.

— Nie lubi. Ale to jeszcze nie relatywizm. Dentysta też woli rwać zęby innym, niż się poddawać temu zabiegowi, ale to nie ma nic wspólnego z relatywizmem etycznym.

— A może jednak ma? Bo złodziej mówi, że gdy jego okradają, to jest złe etycznie, a gdy sam kradnie, to jest etycznie dobre, bo to on, a nie ktoś inny. I głosi relatywizm etyczny.

— Ach, to mogło tylko tyle znaczyć, że niektórzy złodzieje skłaniają się do relatywizmu. To mnie nie interesuje, co myślą złodzieje, mnie chodzi o to, co myślisz ty. A co do nich, to powiem tylko, że niektórzy złodzieje udają relatywistów, bo myślą, że im więcej do twarzy z takim podkładem teoretycznym niż tylko z długimi palcami. Ale ty sam jak czujesz i myślisz? Czy przywłaszczać sobie rzeczy cudze wbrew woli właściciela to może być rzeczą dobrą?

— No, to się zdarzało nawet wielkim ludziom. Podobno Goethe nie chciał oddać sztaby platyny, którą cesarz rosyjski darował Döberreinerowi.

— Gdyby nawet, zachodzi pytanie, czy mamy to Goethemu pochwalić, czy tylko wybaczyć? Bo on zrobił wiele dobrego i jest go za co chwalić. Przy wielkich zasługach można człowiekowi wybaczyć niejedno. Można i przy małych. Chodzi o to, czy będziemy właśnie za to chwalili Goethego? Czy tylko mu to wybaczymy?

— A czy wybaczyć, to nie to samo, co nazwać coś dobrym?

— Nic podobnego. Wprost przeciwnie. Wybaczyć można tylko coś, co się za złe uważa.

— To może wybaczymy mu to, ale go za to nie będziemy chwalili.

— Zgoda.

— No, dobrze. Ale czy nie może czasem być rzeczą dobrą przywłaszczyć sobie rzecz cudzą bez wiedzy właściciela? Kogoś w lesie opadli bandyci. A oto leży obok czyjaś strzelba nabita — cudza. Czy nie wolno jej użyć we własnej obronie koniecznej?

— Wolno, oczywiście. To nawet nie będzie kradzież, bo zakładam, że właściciel strzelby jest porządnym człowiekiem i nie miałby nic przeciw temu, żeby ktoś swoje życie uratował jego bronią. Nie byłoby to czyn wbrew woli właściciela, tylko z jego milczącym a domyślnym zezwoleniem. A więc nie kradzież. Co innego, gdyby ktoś z cudzej strzelby po cichu powykręcał naboje, aby je sprzedać, albo samego dla zabawki je wystrzelał. To by już była kradzież i byłaby oczywiście czymś złym.

— A gdyby to była strzelba nabita przez jakiegoś zbrodniarza w tym celu, żeby komuś trzeciemu życie odebrać? I jedynym ratunkiem dla osoby zagrożonej byłoby wykręcić i ukraść zbrodniarzowi naboje? Co wtedy? Czy taka kradzież nie byłaby czynem dobrym?

— Byłaby czynem dopuszczalnym, powiedzmy, i wskazanym. Zgódźmy się nazywać dopuszczalnymi czyny w zasadzie złe, ale wskazane, np. dla uniknięcia większego zła, dla uratowania życia własnego lub

cudzego. Czasem trzeba mieć odwagę zrobić i coś złego, aby odwrócić coś jeszcze gorszego. Takie czyny są dopuszczalne.

— Więc jednak ten sam czyn jest raz zły i zakazany, a raz dopuszczalny i wskazany?

— Nie ten sam czyn przecież.

— Jakto? Nie ten sam? Tu ukraść i tam ukraść. I to nie jest to samo?

— Na pewno nie to samo: ukraść coś porządnemu człowiekowi dla swojego zysku lub zabawy, a innym razem ukraść zbrodniarzowi lub obłąkanemu narzędzie zbrodni dla koniecznej obrony.

— Więc te okoliczności grają rolę przy ocenie czynu?

— Grają rolę przynajmniej następujące okoliczności: 1. Kto czynu dokonał? Więc czy na przykład zabójcą był ktoś młody czy stary, zdrowy czy chory, wróg czy przyjaciel, sąsiad czy ojciec, człowiek wykształcony i wychowany, czy dziki i nienawykły do szanowania praw. 2. Co ten człowiek właściwie zrobił: przywłaszczył sobie coś, czy zniszczył, czy powiedział coś, czy zaniedbał czegoś? 3. Gdzie ten czyn został dokonany: w polu, w domu, w szkole czy w kościele? 4. Z czyją pomocą i jakimi środkami? 5. Dlaczego, z jakich pobudek i w jakim celu? 6. Jakim sposobem? i 7. Kiedy?

Etyka katolicka ujmuje te okoliczności, ważne dla oceny czynu, w następującym wierszu łacińskim:

Quis, quid, ubi, quibus auxiliis, cur, quo modo, quando. I to proste, że każda z tych okoliczności wpływa obciążająco lub łagodząco na ocenę czynu. Oprócz tych trzeba wymienić inne, równie ważne. Na

przykład to, kim była ofiara czynu w stosunku do sprawcy. Czy to był długoletni krzywdziciel sprawcy, czy tylko się takim wydawał, czy może na odwrót: dobroczyńca, czy też ktoś, kto sprawcy nic złego i nic dobrego nie zrobił. Dopiero kiedy się te wszystkie ważne okoliczności czynu weźmie pod uwagę, można czyn oceniać, bo dopiero wtedy ma się przed sobą czyn, a nie samą czynność. To są różne rzeczy. Oto ktoś, słyszę, rozciął drugiemu skórę i mięsień aż do kości. Czynność znam, ale nie mogę jej ocenić etycznie. Muszę pytać: kto to był, kto się tego dopuścił? Bandyta czy chirurg? W lesie czy w sali operacyjnej? Wbrew woli ofiary, czy za jej zgodą? Czysto czy brudno? I tak dalej.

Normy etyczne formułujemy zwykle bardzo krótko i stąd mogą płynąć te pozory, że są to normy względne. Gdybyśmy je zaopatrzyli we wszystkie wymienione tutaj zastrzeżenia, odpadłyby te pozory względności. Na przykład, powiedz sam, czy to złe, czy dobrze, żeby gość gospodarzowi domu przy gościnnym stole srebrne łyżeczki przy pomocy pięciu palców z obrusa ścierał, aby je na swoją korzyść po cichu sprzedawać?

— No, tu nie mam wątpliwości. To na pewno złe i niedopuszczalne.

— I mnie się wydaje, że to będzie norma bezwzględna. Dlatego, że wyraźnie sformułowana. Sformułuj sobie, proszę, inne nakazy i zakazy etyczne, a zobaczysz, że przestaną się wydawać względne.

— Może być. Ale jednak poczucia etyczne ulegają zmianom w ciągu dziejów i są różne w różnych krajach i w różnych środowiskach. Powiedzmy: w cza-

sach Cicerona uchodziło za niegodziwość pozbawiać obywateli widoku mąk karanych zbrodniarzy i wykonywać wyroki śmierci w murach więzień. To właśnie zarzuca Cicero Werresowi w swojej znanej mowie. A dziś wypadałoby Werresa za to pochwalić, a nie zganić.

— Z pewnością. Cicero wyznawał jeszcze barbarzyńską teorię kary, a nasze poczucia moralne są bardziej rozumne i ludzkie. Nie lubimy się pastwić nad ludźmi; oceniamyż dobro i zło według własnych poczuciu, a nie według barbarzyńskich poczuć Rzymian.

— No, dobrze. Ale w Hiszpanii, podobno, wypada ofiarować gościowi w prezencie każdą rzecz, którą gość w domu gospodarza pochwali.

— Ten zwyczaj ułatwia rabunek chciwcom i zraża do przyjmowania gości — więc jest zły.

— Ale tam równocześnie nie wolno przyjąć ofiarowanego w ten sposób prezentu, a gdyby go ktoś przyjął mimo to, odbiorą mu go zaraz za progiem.

— W takim razie, Hiszpanie wyznają tę samą zasadę, co i my: „Nie zabieraj cudzego — nawet gdy właściciel udaje, że ci robi prezent”. Norma etyczna ta sama, tylko formy towarzyskie dziwaczne i fałszywe. Wymagają udawania hojności nad stan i udawania, że się bierze serio udane propozycje gospodarza. To nie przemawia za relatywnością jakiegóż zasady etycznej.

— A ci Eskimosi, którzy własnymi kobietami gości obdarzają i nie wypada takiego prezentu nie przyjąć?

— Ci nie znają miary w gościnności. To jest gruba przesada przecież i narzucanie darów — rzecz zawsze niedobra. I obyczaj bardzo niehigieniczny, niebez-

pieczny i łatwo dla gościa obrzydliwy. Widać, że wypłynął z dobrych chęci, ale oparty na fałszywych założeniach, na ciemnocie tych pierwotnych ludzi i naiwnym nieposzanowaniu indywidualności gościa. Nawet do kołdunów nie należy nikogo przymuszać ani do tego, żeby ktoś jadł z naszego talerza i naszą łyżką. Głupiemu człowiekowi trudno być dobrym. Nie wystarczą dobre chęci. Obyczajowe przepisy dzikich ludzi bardzo często bywają złe. W dzisiejszej Grecji też, narzeczony z ludu wiejskiego musi swej wybranej przynieść kradzionego barana, jeżeli się chce okazać godnym jej ręki. To także zły przepis obyczajowy, choć i w nim widać jakieś dobre chęci. Przyszły mąż i ojciec rodziny chce w ten sposób pokazać, że potrafi sobie dać rady w życiu i potrafi utrzymać przyszłą żonę i dzieci. Jest to więc taki chybiony egzamin dojrzałości. W starożytnej Sparcie też karano za kradzież tylko tych, którzy się dali na niej przychwycić. Kto kradł sprytnie, uchodził bezkarnie. Grecy nie wyszli dobrze na tym protegowaniu sprytu — nawet połączonego z krzywdą ludzką. Te zwyczaje były i zostały złe, chociaż się komuś kiedyś mogły mylnie wydawać dobre.

— A może te zwyczaje innym ludziom wydają się dobre, a nam się wydają złe. I tyle samo warta nasza nagana, ile cudza pochwała. Każdy łatwo cudze gani, a swoje chwali. I tak może jeden i ten sam zwyczaj jest u nas ganiony, a gdzieś indziej chwalony — czyli ma wartość względną?

— Nie sędzę. Dlatego, że my przytaczamy racje na obronę naszej nagany. Zwyczaj, który zaleca i wymaga krzywdy ludzkiej, i naraża dobro ludzkie,

stępnia poszanowanie dobra cudzego, zasiewa nieufność powszechną — więc jest zły, chociaż go niektórzy mylnie uważają za dobrego. Nie chcielibyśmy żyć w takim społeczeństwie, gdzie by każdy narzeczony lub zakochany przedstawiał niebezpieczeństwo publiczne. Więc mamy rozumne podstawy do tego, żeby takie zwyczaje ganić. Ta nagana daje wyraz naszemu poczuciu moralnemu, które jest inne niż u pasterców w górach bałkańskich albo u prymitywów nad Oceanem Lodowatym. Wolno nam śmiało wypowiadać uzasadnione oceny, oparte na naszym poczuciu i na zdrowym rozsądku, i nie dawać się zbić z tropu tym, że ktoś wypowiada oceny inne, mniej dobrze uzasadnione i znamionujące pierwotne stadium kultury.

Tak samo potępiamy święty dla Korsykanów obowiązek wendety, krwawej zemsty rodowej, bo to prowadzi do wyniszczenia się wzajemnego i wymaga karania niewinnych, a my nie zechcemy odstąpić od zasady odpowiedzialności ściśle osobistej i uważamy za złe wszelkie przelewanie krwi niewinnej, choćby je ktokolwiek uważał za dobre lub za dopuszczalne.

I potępiamy zwyczaj do niedawna w Europie rozpowszechniony i uświęcony, który pozwalał rodzicom, a nawet zalecał, wydawanie córek za mąż bez zapytywania ich samych o zdanie i chęć lub niechęć do wyznaczonego im męża. Szanujemy indywidualność ludzką bardziej niż nasi dziadowie i sądzimy, że oni byli w błędzie i robili źle, a my postępujemy na tym punkcie lepiej niż oni.

— A czy nasze poczucia moralne nigdy nie uleg-

ną zmianie? Czy nasi potomkowie będą podzielali wszystkie nasze oceny aż do końca świata?

— Nie myślę. Może być, że i nasze niektóre oceny okażą się z czasem nieracjonalne, niepotrzebne, sprzeczne z innymi, przy których nasi potomkowie zechcą zostać — to wszystko być może. Poczucie moralne ulega rozwojowi w ciągu wieków w związku ze sposobem życia, z formami gospodarki — ten rozwój się nie zatrzyma. Ale dziś mamy prawo uświadomić sobie i wypowiedzieć nasze dzisiejsze poczucie moralne, nie krępując się tym, że ono było przed paru wiekami inne i po paru wiekach może być na tym lub owym punkcie inne. Zmiany dotyczą szczegółów — główne zasady etyczne wydają się niezmiennne, a mianowicie obowiązki poszanowania życia drugich, ich mienia, pracy, dobrej opinii, zdrowia, indywidualności. To się wydaje związane z każdą formą współżycia ludzi z sobą i dlatego wieczne. A w jakich granicach to robić i jakim sposobem — to się musi zmieniać. To są szczegóły techniczne — zasady wydają się wieczne. Trudno, żeby w czasach Mojżesza mógł powstać moralny zakaz jeżdżenia koleją bez biletu, skoro kolei wtedy nie było i ta forma kradzieży jest wytworem dopiero XIX wieku. Ale zasada poszanowania własności nie swojej została już tam i wtedy wypowiedziana i wydaje się słuszna dziś tak samo, jak przed tysiącami lat. Ona jest bezwzględna, bo jest związana z każdą formą współżycia ludzi w społeczeństwie. To samo z innymi słusznymi zasadami etycznymi. Dlatego wydaje mi się, że relatywizm w etyce polega na nieporozumieniu i nie jest słuszny. Dokładnie sformułowane zasady etyczne

wydają się bezwzględne. Pozory względności płyną także stąd, że nie każda pochwała jest oceną etyczną, nie każde „lubieć” znaczy: „uważam za rzecz godziwą”, a w końcu i stąd, że niejeden wyżej stawia osobisty interes, korzyść, zysk niż godziwość swego postępowania. Rozbój i mord nie stają się przez to dobre, że niejeden rozbija i morduje bez skrupułu i bez wyrzutów sumienia. Kwas octowy nie staje się pożytecznym napojem przez to, że niektóre osoby dobrowolnie wypijają kwas octowy w celach samobójczych. Tak i zło moralne nie staje się dobrem przez to, że wielu ludzi źle postępuje. Zatem nie wiadać, dlaczego mielibyśmy wyznawać relatywizm etyczny.

— Może być, że masz rację. Ale trzeba będzie jeszcze nad tym pomyśleć.

— To zawsze warto.

V. POBUDKI POSTĘPOWANIA ETYCZNEGO

J: Więc ty powiadasz, krótko mówiąc, że pracować nad sobą i nad drugimi można i warto, jeżeli tylko cel naszych dążeń nie jest z góry wykluczony w sposób widoczny, i mówisz, że nasze poczucie dobra i zła i zdrowy rozsądek dyktują nam pewne nakazy i zakazy postępowania z ludźmi, ważne zawsze i wszędzie, i dla każdego, jeżeli tylko są dokładnie sformułowane?

W: Do tegośmy doszli w ostatniej rozmowie. Czy nie uważasz, że to słuszne?

J: Może być. Tylko ten przymiotnik „ważne” (nakazy i zakazy) nie znaczy chyba zgoła tyle samo, co uznawane, szanowane, przestrzegane przez każdego i zawsze?

W: Nie znaczy. Bo wtedy nie byłoby ludzi złych na świecie, a na to się nie zanosz tak prędko.

J: Więc co znaczy: przepis *ważny*?

W: Znaczy: taki, którego się ludzie *powinni* trzymać, jeżeli mają być dobrzy.

J: A jakby się ktoś tego nie trzymał, to co?

W: To będzie zły.

J: Naszym zdaniem czy swoim własnym zdaniem?

W: Naszym na pewno, a własnym niekoniecznie, tylko pod warunkiem.

J: Pod jakim warunkiem?

W: Że to będzie człowiek rozsądny i z natury dobry i zechce się nad swoim postępowaniem zastanowić, i ocenić je etycznie. Bo czasem ktoś postępuje źle nie dlatego, żeby był z gruntu zły, tylko dlatego, że się nie zastanowił, a uległ jakiejś pokusie, jakimś złemu przykładowi, zapędził się, nawykł.

J: Więc ta cała bezwzględna ważność naszych przepisów etycznych na to tylko wychodzi, że my będziemy zawsze i od każdego żądali, żeby się tych przepisów trzymał, i będziemy go zależnie od tego oceniali dodatnio lub ujemnie?

W: Tak jest. Ustalamy tylko nasze własne stanowisko — nie cudze.

J: A co to znaczy: „my”? Czy tylko my dwaj? Czy jeszcze ktoś oprócz nas?

W: My dwaj w każdym razie, a miejmy nadzieję, że oprócz nas także każdy człowiek rozsądny i poczciwy. Jeżeli się tylko gdzieś nie pomylimy.

J: Rozumiem, o co chodzi. Rozumiałbym nasze usiłowania jeszcze lepiej, gdybyśmy byli jakimiś prawodawcami i mieli władzę w ręku. Wtedy ludzie musieliby nas słuchać, bo musieliby się bać naszego gniewu i naszych kar.

W: Myślisz, że dopiero wtedy mieliby pobudkę do słuchania nakazów i zakazów, które byśmy sformułowali, i te przepisy miałyby jakąś sankcję. Stałaby za nimi nasza powaga i wisiałaby nad ludźmi groza kary i nadzieja nagrody. A tak — my przecież jesteśmy ludzie prywatni, nikomu nie imponujemy i nikt się nas nie boi — więc dlaczego właściwie miałyby ktoś nas słuchać i z nami się liczyć, i stosować się

do przepisów, które się nam wydadzą słuszne? To masz na myśli?

J: Coś takiego. Wydaje mi się zabawny ktoś, kto sobie pozwala na nakazy i zakazy, a nie ma żadnego kija ani pioruna w rękę. Bo dlaczego miałby go ktoś słuchać? Gdzie legitymacja do kierowania drugimi?

W: A widziałeś ty kiedy podręcznik do fotografii?

J: Oczywiście. I niejeden.

W: I podręczniki kucharskie, i do analizy chemicznej, i do gry na cytrze, i do budownictwa. Dlatego o nich mówię, bo w nich wszystkich są pewne przepisy, nakazy i zakazy, a nie piszą tych książek królowie, prawodawcy ani prorocy, tylko zwyczajni rozsądni ludzie, biegli i zamięłowani w swoim przedmiocie. Tak samo ma się rzecz i z zasadami postępowania godziwego. Żeby je sobie uświadomić i podzielić się swoimi myślami i poczuciami z kimś drugim, nie potrzeba posłannictwa wysokiego i nie trzeba kija w rękę ani piorunów. Będziemy pytali drugich: „Powiedz, czy nie czujesz i nie myślisz tak samo?”

J: Więc powiedzmy po prostu: dlaczego właściwie ja, na przykład, mam szanować interesy drugich ludzi, którzy razem ze mną żyją w kamienicy albo w mieście?

W: Po pierwsze: dlatego, że ty sam tego chcesz. Jesteś dobry chłopiec i byłoby ci samemu nieprzyjemnie krzywdzić drugich. Ten król i prawodawca siedzi w tobie samym. Do niego możemy apelować. Od niego grozi ci, jako kara, nieuchronne niezadowolone z siebie samego, niesmak, złe samopoczucie, jeżeli postąpisz kiedyś nie tak, jak w głębi duszy chcesz. Od niego też czeka cię nagroda, jeżeli będziesz

postępował przyzwoicie, spokój sumienia, dobre samopoczucie, żeś nikomu nic nie winien. To pierwsza pobudka. Jest i druga, ale mniej ważna. To liczenie się z reakcją otoczenia. W normalnych warunkach przecież ludzie nie zwykli cicho znosić takiego, co im życie zatruwa. Zaraz go nienawidzić zaczynają, obgadują i niszczą. Więc i we własnym interesie lepiej mieć u ludzi dobrą opinię i więcej przyjaciół niż wrogów.

J: A czy to naprawdę każdy porządny człowiek może liczyć na wdzięczność i uznanie u ludzi?

W: Liczyć — nie! Często przecież najlepszego ludzkie wyzyskują, obśmiewają, zjadają. Są ludzie i ludziska. Toteż ta pobudka mniej ważna. Kto by tylko dlatego szanował dobro drugich, żeby sobie zdobyć dobre imię i wdzięczność ludzką, mógłby się ciężko zawieść na tej loterii i nie byłby wzorem do naśladowania. Wypada być dobrym człowiekiem nie dla nagrody jakiegokolwiek, tylko z własnej potrzeby serca. Ludzie są przecież biedni, krótko żyją, dużo cierpią, starzeją się, jak tylko dorosną, i zawsze za prędko umierają, jak wszystkie istoty żywe — po co im jeszcze życie, i tak ciężkie, własną osobą zatruwać? Najbiedniejsi są ludzie źli, którzy się we własnej złości i zawiści, i zarozumiałości smażą i gryzą się powodzeniem innych. Wypada i z nimi współczuć, a bronić przed nimi i siebie, i drugich. Jakieś współczucie ze wszystkim, co żyje i umiera, to najlepsza pobudka do postępowania godziwego i unikania krzywdy ludzkiej. Nie strach przed karą z zewnątrz, nie wyrachowanie na nagrody z zewnątrz, nie

wzgląd na opinię i na oko ludzkie, tylko własna potrzeba serca.

J: A jeżeli jej kto nie ma?

W: To biedaczysko. Upośledzony i niebezpieczny. Do takiego może przemówią pobudki mniej ważne. Jakieś strachy przed karami, jakieś nadzieje na nagrody, jakieś opinie i względy ludzkie. Taki może potrafi przynajmniej udawać dobrego, jeżeli być dobrym nie potrafi. Może przynajmniej pozory zachowa. To też coś warte. Jak to dobrze, że konwenans zmusza ludzi do tego, żeby się do siebie uśmiechali w towarzystwie. Przynajmniej tyle. Przez to też życie robi się gładsze i bardziej znośne. Czasem i śmierć. Towarzyski fałsz jest cennym surogatem życzliwości wzajemnej.

Wybacz pan mą niezręczność,
Mówił kat łotrowi.
Pierwszy raz wiem,
Jestem nowym katem.
Niech się pan nie żenuje,
Łotr grzecznie odpowie.
Pierwszy raz mnie wieszają —
Nie poznam się na tem.

W tym wierszu Krasicki żartuje i, może niechcący, stwarza piękny wzór towarzyskiego uśmiechu w warunkach okropnych.

A wracając do pobudek postępowania godziwego, to można je wymienić także w języku religijnym, który znamy z etyki katolickiej.

Pobudka najwyższa, która się w języku religijnym nazywa nadprzyrodzona i doskonała, to posłuszeństwo nakazowi bożemu. Otóż instynkt społeczny, który się

objawia w odruchach dobrego serca i w poszanowaniu prawa drugich do życia, to w języku religijnym właśnie jest głos boży. Jego należy słuchać.

Niższe pobudki, nadprzyrodzone wprawdzie, lecz niedoskonałe — to obawa piekła i nadzieja na niebo po śmierci.

W końcu najniższe pobudki to obawy i nadzieje przyrodzone, czyli dotyczące naturalnych doczesnych następstw złego i dobrego postępowania, ze strony ludzi dotkniętych, policji, sądów, ciał zbiorowych itd.

J: Ty się z takim politowaniem odzywasz o ludziach złych i mówisz, że człowiek zły to biedaczysko i nędznik. A taki nędznik nieraz siedzi na pieniądzach, spija stare wina, jeździ cichym autem i nosi wysokie odznaczenia. Czy nie sądzisz, że człowiek zły może być, mimo to, szczęśliwy?

W: Ja nie sądzę, ale w tym łatwo o nieporozumienie.

J: Jakie i dlaczego?

W: Dlatego że wyraz „szczęśliwy” ma różne znaczenia. Niektórzy nazywają szczęśliwym każdego, kto tylko bardzo często doznaje uczuć przyjemnych albo doznaje silnych uczuć przyjemnych, choćby i niezbyt często. Tak jakby na jedno wychodziło szczęście i przyjemność.

J: A ty nie tak używasz tego wyrazu, tylko jakoś inaczej? Wyrazu „szczęście”?

W: Trudno mi go używać tak i rad bym go używał jakoś inaczej.

J: Dlaczego trudno?

W: Bo musiałbym szczęśliwymi nazywać także

tych, którzy w ciągu soboty piją wódkę po szynkach, a wieczór wymiotują po rynsztokach przedmiejskich z uśmiechem nieprzytomnym na ustach, aby pić dalej, jak tylko trochę wytrzeźwieją. Ci ludzie przecież pławią się w przyjemnych uczuciach, a jednak nie wydają mi się szczęśliwi. Ani ci, co śpią po haszyszu i po opium, ani obłąkani w stanach maniakalnych, ani idioci, którzy się zaśmiewają co chwila. Oni wszyscy doznają uczuć przyjemnych, i często, i silnych, a jednak nie wydają mi się szczęśliwi. Nie życzyłbym takiego stanu ani sobie, ani moim bliskim i muszę jakoś takie stany uważać za nieszczęście, za nędzę człowieka i poniżenie, chociaż to są stany przyjemne. Dlatego muszę mówić, że tacy ludzie czasem się sami mylnie za szczęśliwych uważają, ale są wtedy w grubym błędzie. Nie wiedzą o własnym nieszczęściu, ale są w moich oczach głęboko nieszczęśliwi. Dawno tak myślał Platon.

Podobnie mi się przedstawiają ludzie źli, którzy mają przez kilkanaście lat powodzenie. Bo największym Napoleonom nie powodzi się dłużej niż kilka dziesiątków lat i to powodzenie zawsze kończy się śmiercią. Przyjemności, używane na co dzień, wędną prędko, powszednieją, zbyt wielkich dóbr doczesnych nikt spożyć i tak nie potrafi, choćby próbował jeść po dwa obiady dziennie, w największych pałacach zdarzają się samobójstwa z przesyty życiem, więc to wielkie powodzenie życiowe nie jest czymś, czego by warto ludziom zazdrościć. Cóż dopiero, kiedy jest okupione kalectwem, niepokojem i samotnością.

J: Ależ jakim kalectwem?

W: Zdaje mi się, że człowiek z zanikłym instynk-

tem społecznym jest tak samo kaleką, jak i człowiek z zanikłymi rękami lub nogami, lub oczyma. Niezdolny do pogodnego współżycia z ludźmi, zagrożony zemstą pokrzywdzonych i odosobniony od świata, choćby ze względu na własne bezpieczeństwo.

Nie nazwę szczęśliwym człowieka, który by się namiętnie kąpał w błocie i czerpał stąd przyjemność, i nie nazwę szczęśliwym człowieka, który się namiętnie kąpie w krzywdzie ludzkiej i znajduje w tym przyjemność.

W wyrazie „szczęśliwy” słyszę ton pochwały, widzę w nim uśmiech współradości i czci — nie mogę tym wyrazem obdarzyć typów, które we mnie budzą politowanie i niesmak, a czasem zgrozę i odrazę. Dlatego nie mogę mówić o człowieku złym a szczęśliwym. Każdy człowiek zły wydaje mi się przez to samo nieszczęśliwy, choć wielu z nich nie wie o swoim nieszczęściu i doznają, do czasu, uczuć przyjemnych, których im zazdrościć nie warto. Myślę, że szczęścia człowieka nie można wyrazić w metrach zjedzonej kiełbasy, ani w kilometrach przejechanych cichym autem, ani w metrach kubicznych zajmowanego mieszkania — za to dobry charakter wydaje mi się niezbędnym współczynnikiem szczęścia ludzkiego.

Tak używam wyrazu „szczęście”, ale wiem dobrze, że nie wszyscy chcą go tak używać. Nieporozumienia nie będzie, kiedy wiemy, jak używamy tego wyrazu.

Jeżeli chodzi o odwrotną stronę medalu, o to, czy człowiek dobry jest tym samym już i szczęśliwy, to powiem, że dobry charakter jest niezbędnym, ale nie

jest wystarczającym warunkiem szczęścia. Żeby być szczęśliwym, potrzeba jednak pewnego minimum dóbr materialnych, zdrowia, cierpliwości i pogody wewnętrznej. Zbyt wielkie braki, choroby, prześladowania — gaszą szczery uśmiech na ustach nawet i dobrych ludzi. Ale z dwojga złego wydaje mi się gorsze: być złym i bardzo bogatym, niż być dobrym i bardzo ubogim. Wiem, że inni czują inaczej. Wystarczy, gdy się porozumiemy; nie musi każdy z nas przeciągać drugiego na stronę własnych ocen i własnego słownika.

VI. SUMIENIE I PRACA NAD SOBĄ

CO TO JEST SUMIENIE?

Wyraz „sumienie” w różnych odmianach słyszy się w życiu często. Uprzejmy kupiec wziął pieniądze, a przysłał towar na pół zepsuty. Gdzież jego sumienie i sumiennność? Chce ktoś przekupić sędziego albo nauczyciela i zapewnia im bezwzględną tajemnicę i nieodpowiedzialność. Ale uczciwy człowiek łapówek nie bierze, bo mu na to nie pozwala sumienie.

Ktoś inny zostawił matkę staruszkę bez opieki i pomocy i starsza osoba zachorowała ciężko. Teraz ma ten człowiek wyrzuty sumienia, mówi sobie: „To przeze mnie”, i cierpi ponieważ, że tak postąpił.

Ktoś odmówił wsparcia biedakowi, który wyglądał podejrzanie, i teraz ma niepokój w sumieniu, czy nie skrzywdził biedaka podejrzaniem i odmową.

Jakiś dłużnik bardzo dokładnie pilnuje terminów spłaty ratalnej i widać, jak mu na tym zależy. Mówi się wtedy, że jest bardzo sumienny. Sumienie objawia się skrupułami, to znaczy przykrą niepewnością, czyśmy nie postąpili źle, objawia się bacznością uwagą podczas działania, czy w jakimś względzie nie postępujemy źle, i objawia się w danym razie przykrością i żalem do siebie samego, i wstydem, żeśmy jednak postąpili źle. Sumienie jest jakby okiem wewnętrznym, które bada wartość etyczną własnych czynów

zamierzonych, dokonywanych i już dokonanych. Ale to nie jest badanie na zimno. To jest zarazem gotowość do reakcji uczuciowej i czynnej zależnie od tego, czy nie stwierdzamy u siebie żadnego łamania zasad moralnych, czy też musimy u siebie stwierdzić, że nasze czyny idą wbrew zasadom, które uznajemy za dobre. Zatem sumienie — to gotowość i skłonność do kontroli swego postępowania, do jego oceny i do kierowania swym postępowaniem według uznanych zasad.

Sumienie polega na tym, że: 1. człowiek uznaje pewne zasady moralne i chce się ich trzymać w postępowaniu, ale nie zawsze umie to robić, bo 2. potrafi nieraz postępować wbrew tym zasadom albo dlatego, że zachciewa mu się chwilami czegoś, czego by sam nie chciał, gdyby się zastanowił spokojnie, albo dlatego, że bywa roztargniony, zapomina się, ulega afektom, namiętnościom, zamroczeniom, zapędza się, albo zaniedbuje i wypuszcza niekiedy cugle z ręki, którymi powinien by sobą stale kierować. Człowiek zdaje sobie sprawę z tej trudności prowadzenia siebie i utrzymania się na pożądanym torze moralnym. Stąd jego namysły i wahania się przed czynem i podczas działania, stąd oceny własnych działań i bądź to spokój wewnętrzny, bądź niezadowolienie z siebie samego.

Kto by gotów był nie uznawać żadnych zasad moralnych albo nie chciałby się trzymać żadnej, a postępowałby zawsze wedle chwilowych zachcianek, nie dbając zgoła o to, czy one są zgodne z zasadami moralnymi, czy nie są, nie miałby żadnego sumienia, nie przeżywałby ani skrupułów, ani wyrzutów. A je-

żeby przeżywał jakieś, nie byłyby to skrupuły i wyrzuty moralne i nie można by u niego mówić o sumieniu.

SKĄD SIĘ BIERZE SUMIENIE?

Jeżeli tak jest, to jasna rzecz, że sumienie nie jest głosem wrodzonym każdemu, tylko jest postawą nabytą w ciągu życia pod wpływem otoczenia, które człowieka wychowało. Otoczenie przecież poddaje człowiekowi w latach dziecięcych pierwsze zasady moralne: „Tak nie rób nigdy, a tak postępuj zawsze; to pięknie i dobrze, i chwalebnie, a to źle, brzydko i haniebnie. Wstydz się takiego postępowania, a tamto przynosi ci zaszczyt”. Taki jest początek sumienia. Z czasem człowiek przeprowadza krytykę swoich zasad moralnych, jeżeli go na to stać, i jedne sobie sam zdobywa i dołącza do dawnych, a inne zmienia lub odrzuca. Sumienie dojrzałego człowieka mówi inaczej, w wielu punktach, niż sumienie sześćioletniego chłopca.

Na formowanie się sumienia wpływają w toku życia ludzie, z którymi człowiek omawia własne i cudze niepewności moralne i wyrzuty. Wpływa lektura powieści obyczajowych i scena dramatu, wpływa kino i przykłady spotykane w życiu, bohaterstwa jednostek i bezkarne zbrodnie grup i tłumów, wypadki wojenne, towarzystwo, w którym się człowiek obraca i które sobie zdobyło jego sympatię. W znacznym stopniu robi to prasa codzienna.

Sumienia osób pobożnych formują spowiednicy i kaznodzieje. Sumienia tych, którzy się zajmują polityką — kierownicy partyj politycznych i redakto-

rzy gazet. Ci umieją gasić skrupuły i gładzić wyrzuty sumienia, umieją poddawać nowe zasady postępowania i przekreślać dawne swoim osobistym wpływem. Ludzie łatwo zrzucają z siebie odpowiedzialność moralną na barki swych kierowników. Tym bardziej, gdy ich do tego zmusza strach.

RODZAJE SUMIEN

W podręczniku etyki katolickiej znajdują się trafne i celowe rozróżnienia sumień ludzkich, z którymi warto się zapoznać i posługiwać nimi także w etyce świeckiej. A więc rozróżnić można:

a. Sumienie skrupulatne i sumienie luźne, czyli nieściste. Pierwszy typ sumienia objawia człowiek, który pilnie unika nawet drobnych odchyień od zasad moralnych w swym postępowaniu. Drugi typ — to sumienie odzywające się tylko przy sposobnościach grubych, bijących w oczy, i to nie zawsze, a w zwyczajnych wypadkach nie działające w ogóle albo bardzo słabo.

W jednym z kazań Fabiana Birkowskiego udaje typ skrupulata penitent, który się spowiada, że w piątek jajecznicy przeznaczonej dla chorego powąchał przypadkiem, a równocześnie przemilcza swoje ciężkie zbrodnie i objawia w ten sposób, jak bardzo luźne jest jego sumienie w rzeczywistości. Typy skrupulatów, to dzieci, które po spowiedzi po kilka razy biegną „do poprawki” i jeszcze spokoju nie mają.

Rzecz jasna, że zbyt skrupulatne sumienie może utrudniać wszelkie działania i stosunki z ludźmi, ponieważ na każdym kroku czyhają jakieś pokusy

i okazji do uchybień zasadom moralnym. Zbyt luźne — nie spełnia swojego zadania.

b. *Sumienie rzeczowe i mylne.* Rzeczowe ogląda się na rzeczywiste uchybienia słusznym zasadom moralnym. Mylne rodzi skrupuły i wyrzuty w związku z czynami i cechami dobrymi lub obojętnymi etycznie, a milczy w związku z czynami złymi i wadami. Tak np. T. Costa, bohater znanych powieści Montherlanta, bierze sobie za złe swoje odruchy miłosierdzia i litości, a to by nie były u niego rzeczy złe, gdyby były szczere, a bez skrupułu i wyrzutu wyrządza ciężkie krzywdy. Nieraz sumienie człowieka dzikiego lub zdziczałego każe mu spełniać ofiary ludzkie lub szukać krwawej zemsty, a to są rzeczy złe; nieraz mu każe tyranizować i ból zadawać tym nawet, którym on życzy najlepiej. On czuje, że tak powinien, bo tak jest dobrze i godziwie. Jego sumienie jest mylne. On bierze za słuszną zasadę moralną jakiś przesąd albo zasadę złą, nie wie o tym i nią się kieruje. Chciała zrobić najlepiej ta osoba, która zastrzeliła ukochanego, kiedy się męczył i prosił ją o skrócenie mąk. A jednak zastrzyk morfiny lub środka nasennego byłby lepszy niż rewolwer, w tym wypadku.

Oprócz tych rodzajów należałoby wyróżnić:

c. *Sumienie nastawione egocentrycznie i altruistycznie.* Kto w związku ze swym postępowaniem troskliwie na to przede wszystkim patrzy, czy się sam nie poniża, nie plami, nie psuje, nie odbiega od ideału, ten ma na oku własną osobę, jej wartość jej zasługi, jej poziom, i tak nastawione sumienie trzeba nazwać egocentrycznym. Zepsuła się w domu

instalacja elektryczna, ludzie cierpią, a jest niedziela. Wołają montera. Ten nie chce przyjść, bo szanuje odpoczynek niedzielny i sumienie mu nie pozwala splamić się robotą w ten dzień. O siebie mu chodzi, a ludzie niech cierpią. W tym wypadku sumienie montera było egocentrycznie nastawione. Gdyby było altruistyczne, kazałoby mu myśleć o ludzkiej biedzie i o ratunku dla ludzi, a nie o sobie samym.

d. *Sumienie stanowcze i ciągliwe.* Sumienie stanowcze odzywa się zdaniem kategorycznymi: „Tego nie rób, to rób, toś zrobił źle, tamto dobrze” i te wyroki powtarza niezachwianie. U innych ludzi sumienie mówi z cicha i niepewnie: „A może to źle tak robić? A może by postępować inaczej? Kto wie, czy postępuję najlepiej? Zdaje się, że chyba źle.” Ale można wtedy z tym głosem wejść w targi i rozważać, że zasady postępowania są niepewne i nie wiadomo, której się lepiej trzymać, i wypadki życiowe są zawiłe i trudne. Można wtedy jakoś własne sumienie zagadać i zagłuszyć. Wtedy ono się okazuje ciągliwe. Sumienie komuś nie pozwalało brać łapówki, ale w końcu wziął, bo sobie pomyślał, że jest przecież porządnym człowiekiem, a czemu by i ludzie porządni nie mieli do czegoś dojść w tych ciężkich czasach, kiedy tylko łajdaki dochodzą do pieniędzy. Jego sumienie okazało się ciągliwe.

Nie trudno po tych rozróżnieniach powiedzieć, jakie powinno być sumienie człowieka, jak się należy. Nie przesadnie skrupulatne i nie luźne. Rzeczowe, altruistyczne i nieciągliwe. To się nie łatwo robi samo z siebie. Kto by chciał do tego dojść, musi pracować nad sobą.

PRACA NAD SOBĄ

Praca nad osiągnięciem właściwej postawy moralnej wymaga, po pierwsze, pracy nad zasadami etycznymi, aby uniknąć zasad mylnych, a pozostałe żeby się nie wykluczały i nie ograniczały nawzajem. Po drugie, wymaga wysiłków woli, aby się w działaniu trzymać uznanych zasad, a w razie jakiegoś odwiegnięcia od nich — wracać na tor właściwy. To wymaga nieraz zaparcia się siebie, bo wymaga walki postanowień moralnych ogólnych z pragnieniami i zachciankami chwilowymi. Tak samo jak trening sportowy, którym człowiek zmierza do panowania nad własnym ciałem. Tak samo jak ćwiczenie w dyskusji naukowej, utrzymanej w ramach logiki formalnej. Dusze o typie wschodnim, hołdujące każdej zachciance, jaką im podda ich bujny temperament, dusze, które chcą się „wyżyć” za każdą cenę i nie odmawiać sobie niczego nigdy, nie mogą nigdy osiągnąć pozytywnego poziomu moralnego i nie pragną nawet mieć jakiegokolwiek sumienia. Przykłady takie rysuje np. Somerset Maugham w swoich nowelach egzotycznych. Nie można się też spodziewać sumienia i pracy nad sobą u Ewy Pobratymskiej albo u Pochronia. Typ człowieka, który jest kierownikiem i sędzią siebie samego, stworzył i rozwinął Platon. Jeżeli chodzi o to, jak właściwie pracować nad sobą, to pracę intelektualną nad zasadami etycznymi wypadałoby zacząć od porządnego zapoznania się z istniejącym systemem zasad moralnych etyki katolickiej. Jest na to wielki katechizm i są wyczerpująco opracowane systemy etyki religijnej. Z tymi się za-

poznać gruntownie i jeśli przemawiają do przekonania, przyswoić je sobie i trzymać się ich naprawdę, a nie tylko od święta i na niby. Jeśliby która była nie do przyjęcia, to poradzić się kogoś mądrzejszego i w końcu wiedzieć jasno, które się zasady uznaje i bierze się je serio, a których nie. Aby wiedzieć, gdzie się stoi i być w porządku z sobą. Jeżeli się czujesz katolikiem, bądźże nim na serio. Spróbuj, może jednak potrafisz być nim z przekonania i czynnie. Żyj tak, jak wierzysz. Dopiero kiedy nie potrafisz się zdobyć na szczerą wiarę ani na praktykowanie jej w działaniu, rozejrzyj się za innym stanowiskiem, które byś potrafił brać serio. Nie załatwimy sprawy wzruszeniem ramion i machnięciem ręką.

Następne konkretne wypadki zagadnień moralnych przemyśleć trzeba i omawiać spokojnie z innymi. Wtedy gdy albo sami się czujemy pokrzywdzeni, albo ktoś objawia, że czuje się przez nas pokrzywdzony. Oprócz wypadków, które życie nastęrcza, wiele materiału do zagadnień etycznych dają powieści i teatr.

Od czasu do czasu trzeba robić rachunek sumienia, jak starożytni pitagorejczycy, a więc pytać siebie samego i odpowiadać sobie szczerze, co złego robię lub zrobiłem, w którym punkcie postępuję lub postąpiłem słusznie i jakiej powinności nie dopełniam należycie. Aby sobie zdać sprawę nie tylko z własnych czynów, ale i z zaniedbań.

Wielką pomocą przy tym być może godny zaufania a szczery przyjaciel, który by się nami nie gorszył i nie schlebiał nam również.

Kiedy się stwierdzi u siebie jakiś czyn, który nas

nie zadowala moralnie, trzeba go nie powtarzać więcej i to sobie postanowić szczerze, a jeśliby to była skłonność trwała, a więc wada pewna, wyłamywać się z niej świadomie i wytrwale. Nie zrażać się przy tym niepowodzeniach na początku drogi.

Nie powinno to wszystko być objawem kultu własnej osoby, tylko powinno być natchnione myślą o drugich. Nie chorobliwą treścią, ale jednak obawą, czy się komuś nie robi krzywdy, albo mu nie przysparza niepotrzebnego cierpienia.

Zapewne, że z tej pracy nad sobą może się u tyków psychopatycznych zrobić egocentryczna karykatura, zatrzęsienie skrupułów i skrupulików i urojeń prześladowczych — u zdrowego człowieka nie ma o to obawy.

Są ludzie, którzy funkcje własnego sumienia zdają na drugich, czynią ich swoimi przewodnikami moralnymi. To może być ojciec, spowiednik, ktoś uwielbiany. Co powie — to święte, co pochwali — to dobre, co zgani — to złe. Niedobrze tak się wyręczać i chować się pod czyjeś skrzydła. Trzeba samemu dorosnąć i samemu ponosić przed sobą odpowiedzialność za swoje postępowanie i postawę.

Nie myśl, że człowiek, który ma sumienie i pracuje nad nim, musi zatracić szczerłość i prostotę w stosunkach z ludźmi. Człowiek cywilizowany uważa przecież na czystość własnego ciała i ubrania i nikt od niego nie żąda, żeby był szczerze i po prostu brudny, jeżeli była sposobność do powalania się. Strona moralna człowieka wymaga tak samo troskliwej uwagi i świadomej troski, jak ciało i ubranie.

VII. RODZICE I DZIECI

Najpierwsza i najmniejsza grupa społeczna, na tle której zjawiają się obowiązki człowieka wobec drugich ludzi, to rodzina: rodzice i rodzeństwo. Jest powszechnie znane przykazanie czci należnej rodzicom. Znamy też z dawnych pamiętników obyczaje rodzinne obowiązujące w dawnej Polsce, kiedy to dorosły syn nie śmiał usiąść w obecności „Pana Ojca” i nigdy do rodziców nie mówił „Ty”, dzieci nie śmiały mieszać się do dyskursu, a bicie było powszednim zabiegiem, bardzo szanowanym w rodzinach jako niezawodny środek wychowawczy. Dojrzałe i niedojrzałe córki mieli rodzice prawo wydawać za mąż nie pytając ich o zdanie, a synów przeznaczać do tego lub owego zawodu, bez względu na ich chęć lub niechęć.

Obowiązek czci dla rodziców ciążył na dzieciach dlatego, że rodzice uchodzili za przedstawicieli Boga w stosunku do dzieci. Boga, a więc Kościoła. Mieli obowiązek niemowlęta chrzcić, uczyć je jak najprędzej modlitw, obrzędów i artykułów wiary, posyłać je do sakramentów i wychowywać w wierzeniach i praktykach religijnych jeszcze zanim dzieci przeszły pod bezpośredni wpływ wychowawców duchownych.

Dziś te stosunki należą do przeszłości, ale na miejsce Kościoła wstępuje państwo i nieraz spiera się z Kościołem o to, do kogo przede wszystkim ludzkie dzieci należą: do Kościoła czy do państwa. Rodzice produkują dzieci przecież nie dla siebie samych, do-

starczają ich instytucjom zbiorowym jako rekrutów, podatników i jako wiernych. Dwie wielkie instytucje: Kościół i państwo nie wszędzie zostają z sobą w zgodzie, a obie sięgają po dzieci ludzkie od wieku co raz to wcześniejszego. Dorośli też muszą być zainwentaryzowani i poddani zawsze jakiemuś państwu i jakiemuś Kościołowi. Wyjątek stanowił Alain Gerbault, po odbyciu służby wojskowej i wyjeździe na oceany w łodzi samotnej.

Obowiązkowa cześć dla rodziców sprawiała rzetelną trudność wielu dawnym dzieciom i sprawia nieraz trudności dzisiejszym. Taką samą trudność musiałby sprawiać każdy inny nakaz, wymagający doznawania uczuć, które by się nie budziły same. Na przykład nakaz zachwycania się ciotkami, podziwiania stryjów, wyśmiewania siostrzeńców, gardzenia wnukami itp. Cześć w pewnych warunkach budzi się sama, bez nakazu, i wtedy jest bardzo miła dla tych, którzy ją żywią, i dla tych, którzy ją odbierają. W innych warunkach cześć nie może powstać, mimo nakazów i mimo najlepszych chęci, i wtedy jej nakaz rodzi rzetelną trudność, rozterkę, i prowadzi do fałszu, do uczuć nieszczerých. Jeżeli się komuś trafił ojciec pijak i nałogowy przestępca, gwałciciel i prześladowca, który budzi strach i zgrozę, jakże się ma dziecko zdobyć na cześć dla niego? A to nie jest wypadek zmyślony. Jest ich aż nazbyt wiele. A jak mają z siebie wykrzesać cześć dla rodziców dzieci podrzucone, opuszczone? Można gratulować dzieciom, w których charakter i postępowanie rodziców budzi cześć, ale nie można od wszystkich dzieci wymagać czci dla każdego typu rodziców. Wypada rodzicom poło-

żyć na serce nakaz moralny: „Staraj się zasłużyć na cześć u swoich dzieci”, ale nie można od dzieci wymagać czci bez względu na to, czy rodzice na nią zasługują, czy nie, i czy ją wywołać dla siebie potrafią. Zresztą „cześć” to zbyt wielkie słowo. Wystarczyłby osobliwy szacunek, jako dla ludzi starszych, którym dziecko ma zazwyczaj wiele do zawdzięczenia i wobec których ma obowiązki.

Osobliwe uszanowanie dla rodziców jest w normalnych warunkach bardzo pożyteczne dla rozwoju dzieci. W wychowaniu dziecka nieocenionym czynnikiem jest powaga wychowawcy. Dzieckiem musi kierować ktoś, komu by ono nie śmiało pokazywać języka, podnosić głosu i pomiatać nim. Bo zdriczeje, rozzuchwali się, może wpaść pod wpływ nieodpowiedzialne, a nacierpi się bardzo, kiedy później w szkole albo w życiu natrafi na czynniki twardsze niż ręce i słowa dobrych rodziców. Jak to i stare przysłowie mówiło: „Kto nie słuca ojca, matki, ten słuca psiej skóry”. Gorzki los tych rozwydrzonych dzieci, które się w domu nie nauczyły szacunku dla władzy rodzicielskiej. Życie nie jest zakładem pani Montessori. Zatem osobliwy szacunek dla rodziców jest w interesie samych dzieci i dlatego trzeba w nim dzieci wychowywać, aby do niego, nawykły od niemowląt. I to się samo zwykło robić, jeżeli dzieci widzą obowiązkowość i pracowitość rodziców, jeżeli nie padają ofiarą ich kaprysów i niekonsekwencji, ich nieobliczalnych humorów, jeżeli nie dostają poleceń nad siły, jeżeli czują ich życzliwą troskę i wiedzą, że polecenia dane muszą być spełnione. Bo i rodzice muszą też spełniać swoje obowiązki, pilnując swo-

ich godzin i swoich zadań tak, jak tego wymagają od dzieci. I rodzice też objawiają szacunek dla swoich rodziców, dla starszych krewnych i znajomych i dla obcych, i szanują każdą pracę. Wtedy się dziecko uczy szanować własnych rodziców. Za ich własnym przykładem. Oducza się tego, gdy widzi u rodziców zaniedbania, kaprysy, nieopanowane afekty, gdy sły-
szy w domu krzyki, kłótnie, sprzeczki, docinki, szy-
derstwa, obmowy, sarkastyczne zwroty, gdy jest świadkiem lenistwa, opilstwa, marnowania czasu, gdy spostrzega objawy głupoty i próżności, i wszelkiego nieopanowania. Dziecko wcześniej zaczyna gardzić pewnymi wadami, niż się samo potrafi zdobyć na odpowiednie zalety. Nie tylko dziecko, zresztą.

Tak więc ludzie rozumni i przyzwoici mogą sobie bez trudu wyrobić osobliwy szacunek u własnych dzieci. Jeżeli zaś matka pomiata ojcem albo ojciec tyranizuje matkę, niech się oboje nie spodziewają szacunku dla siebie ze strony swych dzieci.

Dlatego najgorsze gniazda dla swoich potomków stanowią pary niedobrane, w których miłości nie było albo była i zgasła, a został kwas i żółć, i zra-
niona ambicja, i pretensja, i zawód, i zazdrość, któ-
ra jest upiorem miłości. Lepiej wtedy, jeżeli się dzie-
ci chowają poza domem albo u jednego tylko z oboj-
ga rodziców, niżby miały patrzeć na nieuniknione objawy niechęci wzajemnej obojga naturalnych wy-
chowawców, bo te muszą szacunek dla nich pod-
kopać.

Jeżeli któreś z rodziców nie potrafi żywić szcze-
regu szacunku dla drugiego, a są dzieci, wtedy zja-

wia się w interesie dzieci ciężki i trudny obowiązek udawania szacunku dla drugiej strony, którego się nie czuje, i ratowania go w duszach dzieci wbrew sobie. Bo lepiej żeby dzieci zachowały, choćby niezasłużony, szacunek dla jednego z rodziców, niż żeby go straciły dla obojga. Wypada wtedy osłaniać wobec dzieci nawet głupie zarządzenia drugiej strony, nadawać pozory sensu jej enuncjaczom niemądrym, pozorować jej zaniedbania i ratować jakoś jej powagę, licząc na to, że instynkt rodzicielski uchroni ją od krzywdzenia dzieci w sposób zbyt jaskrawy. A równocześnie mieć oko otwarte i czujne, czy jednak ten instynkt nie zawodzi. Bo sam fakt posiadania dzieci nikogo jeszcze świętym nie zrobił.

Zawsze można dziecku, które jest nie dość grzeczne wobec matki, przypomnieć, że matka niejedną noc nad nim czuwała i pielęgnowała je w chorobach, i karmiła, więc się jej, już przez samą wdzięczność, należy osobliwy szacunek. A jeżeli przemądry dzieciak wpadnie na to, że matka niegdyś tak robiła dla własnej przyjemności, a karmiono go z flaszeczki i on wcale nie prosił nikogo o życie i pielęgnowanie, które rodzicom ich instynkt rodzicielski dyktował, to się dowie, że właśnie za nieodparte, instynktowe objawy życzliwości wypada być wdzięcznym, a nie za udane lub za wymuszone z zewnątrz.

Gdyby się które z rodziców zmazało ciężką winą wobec dziecka i dziecko o tym zapomnieć nie mogło, to jednak ono najlepiej potrafi znaleźć okoliczności łagodzące i potrafi współczuć z nim i wybaczyć dawne winy. Sąd zostawi obcym i adwokatem będzie przed wyrokiem.

Chybionym sposobem zaszczepiania dzieciom szacunku dla rodziców jest krzyk, gwałt, bicie, poniewieranie i upokarzanie dziecka. Przecież te sposoby postępowania budzą tylko strach, gniew, odrazę i obronny fałsz, skrytość i odcinanie się od kontaktu. Zupełnie coś innego: bać się kogoś i chodzić koło niego na palcach, aby nie ukąsił i nie wywołał wstrząsu, a co innego: żywić dla kogoś szacunek albo cześć. Cześć jest ufna i nie boi się krzywdy grożącej, boi się tylko zadać ból przedmiotowi czci. Coś zupełnie innego, coś nawet przeciwnego niż strach. Dziecko poniewierane nie potrafi się oprzeć wewnętrznym odruchom pogardy i odrazy do tego, który je gnębi, a jeżeli kochało i lgnęło, przeżywa nieznośne i niezapomniane wstrząsy wewnętrzne i nie może odszukać właściwego stosunku do nieudolnego wychowawcy lub opiekuna. Najgorsze rany duchowe zadają dzieciom ci kapryśni wychowawcy, którzy, jak kobiety histeryczki, obsypują dzieci pieścizkami, aby je w kwadrans potem obsypywać okrzykami gniewu, złości, jadu, wyrzutami i pretensjami. Te, im bardziej są gwałtowne a mniej sprawiedliwe, tym bardziej ranią, a ufny szacunek zamieniają na pogardliwą ostrożność. Bywa trudno te rzeczy wybaczać, kiedy się z lat dziecięcych wyjdzie.

Czci dla rodziców nie można żądać od wszystkich dzieci, jeżeli to ma być cześć prawdziwa, ale każdemu dziecku trzeba powiedzieć: Szanuj swoich rodziców osobliwie i bądź dobry dla nich. I przez wdzięczność, i przez szacunek dla samego siebie. To są przecież najbliższe ci krwią istoty żywe. Byłeś częścią ich ciała i znajdziesz w sobie samym niektóre

z ich skłonności, i przekażesz coś po nich własnym dzieciom. Jesteś jak ciąg dalszy powieści, zaczętej przed kilkudziesięciu laty. Jej poprzednie tomy — to twoi przodkowie, tomy dalsze — to twoje dzieci. Przyroda je napisała i rozwija powoli. Czemubys nie miał szanować pnia, z którego rośniesz? Wiążą cię z rodzicami najdawniejsze wspomnienia. Od nich czerpałeś pierwsze wiadomości i pierwsze dobre nawyki. Jeżeli ci życie czasem miłe, to i im się należy jakiś ukłon i uśmiech za jego początek i ochronę, kiedyś był bezbronny i potrzebował opieki. I wspólny wasz los w końcu. Tylko przed nimi starość i niedołęstwo, i śmierć prawdopodobnie bliżej niż przed tobą. Niemoc, podobna do niemowlęcej. Oni kwitli wcześniej i muszą zwiędnąć przed tobą. Oddajże im to życzliwe spojrzenie i ten uścisk, którym cię ogrzewali kiedyś. Sam tego chcesz zresztą, bo i w tobie się odzywa instynktowne przywiązanie do nich, jeżeliś z nimi wyrósł. Ten instynkt ma dobry sens. Ludzie na początku i na końcu swojego życia przechodzą okres niemocy, a dzieci mają w okresie, kiedy są w pełni sił. W okresie niemocy niemowlęcej zdani są na troskę i opiekę swoich rodziców, a w niemocy starczej ratują ich własne dzieci. Z reguły każdego to czeka i to dobrze, że tak jest, jeżeli życie ma trwać przez pokolenia. Więc i powinno tak być. Stąd u dzieci obowiązek opieki nad rodzicami w starości.

I opieki, i traktowania takiego, jakiego im potrzeba. A człowiekowi, któremu wiek zabiera siły i jego sprawność umniejsza, potrzeba szacunku więcej niż człowiekowi młodemu, który swoje siły czuje sam i szacunek sobie zdobyć potrafi siłą. I wyrozumia-

łości potrzeba staremu więcej, bo już się ze swych wad nie wyłamie tak łatwo, a ułomności mu przybywa. I cierpliwości, bo łatwo bywa nieznośny i nudny, i wybaczenia wiele, i patrzenia przez palce na wady, których się pozbyć nie zdołał. Trzeba staremu człowiekowi tak życie urządzać, żeby jak najmniej słyszał kroki śmierci, coraz bliższej, i jakoś go do życia, a jeśli można, to i do pracy wciągać, żeby się nie czuł odpadkiem, nieużytkiem i szczątkiem. Ani zabytkiem i relikwią. I nie deptać mu po piętach serdeczną troskliwością, aby mu kryminału nie stworzyć przez najlepsze chęci, i znosić jego dziwactwa i nawyczki, i upodobania — niech jakoś na wolności swoich dni dokończy.

Nie zawsze to jest łatwe zadanie dla dzieci, ale w tym kierunku zawsze idą ich obowiązki.

Nie tylko obowiązki dzieci wobec rodziców. Czasem ktoś ma starą ciotkę albo znacznie starszego brata w domu. Podobny wtedy stosunek i podobne obowiązki.

Ale nawet wobec obcych ludzi starych tak się mniej więcej układać powinien stosunek ludzi młodszych i silniejszych. Nie wypada polemizować w sposób cięty ze starszym panem, który przyszedł na posiedzenie naukowe i bredzi. Trzeba odcierpieć i przeczekać. Co innego, jeżeli wyda złą książkę i sieje zamęt w głowach. Recenzent nie powinien książki chwalić ani jej pobłażać ze względu na wiek autora. Wypada o niej napisać prawdę — w rękawiczkach, ale rzeczowo.

I nie wypada siedzieć w tramwaju, kiedy starszy pan albo kobieta wiekowa stoi obok, i nie wypada

puszczać za sobą drzwi na sprężynie, jeżeli za kimś idzie starsza osoba.

Postępowanie z ludźmi starymi wymaga dużej subtelności. Bo nie każdy starzeje się równomiernie, zacem może mieć głowę jeszcze zupełnie w porządku, chociaż już się nie rusza z fotela, i tam dalej. Zacem można fatalnie trafić, jeżeli się do starszego pana ktoś zwraca jak do dziecinniałego pacjenta, a jeszcze jest na to czas, na razie. Czasem ktoś wygląda staro, ale myśli i czuje jak człowiek młody i do rzeczy — takiego warto dopuścić do głosu, a nie odstawiać go choćby na piedestał. Niech nawet sam wdziewa płaszcz przed wyjściem, jeżeli go podawanie żenuje. I nie chwytaj go gwałtem pod rękę, jeżeli sam idzie jako tako i woli się podeprzeć na spadzistości laską, niż chwytaj za rękawy młodszych.

Nie podawaj pierwszy ręki staremu człowiekowi, czekaj, aż on ci sam zechce zrobić ten zaszczyt. Nie wyłamuj mu przy powitaniu ręki ze stawu ramiennowego i nie pokazuj, że zgnieść potrafisz dwa orzechy w kułaku. Nie zgniataj mu żeber w uścisku, nie klep go po udach ani po łopatkach i nie trącaj go w brzuch, jeżeli mu chcesz objawić życzliwość. I nie dmuchaj mu dymem w nos, choćby to był ktoś palący. I tak szanuj starego człowieka, bo droga od szczytu życia ku grobowi jest sama przez się nad wyraz ciężka i sam na nią wejdiesz niezadługo. Musimy ją ludziom osładzać objawami szczerego szacunku. Tym bardziej że, poza kryminałami, ludzie starzy to powinni być ludzie wysłużeni, którzy długo i uczciwie pracowali i należy im się za to uznanie od młodszych, bez uprzedniego egzaminu.

Te nakazy są tak naturalne u ludzi cywilizowanych, że po stosunku do ludzi starych łatwo poznać stopień kultury młodego człowieka. Więc i na to uważaj, żebyś się czasem nie skompromitował w oczach ludzi, którzy umieją patrzeć. Ale to już wzgląd ostatni, zewnętrzny i doczesny. Własne dobre serce poprowadzi cię dobrze nawet tam, gdzie oko ludzkie nie sięga.

Na rodzicach ciąży obowiązek utrzymywania dzieci i chowania, w czym się mieści i kształcenie, dopóki nie potrafią stać o własnych siłach. Jak długo to ma trwać, trudno powiedzieć z góry. Ambitne i dobre dzieci starają się jak najprędzej osiągnąć własny chleb, a nim to nastąpi, ulżyć rodzicom choć częściowo. Nie wolno dzieci zaprzęgać zbyt wcześnie do roboty ze szkodą dla ich zdrowia i wykształcenia, a z drugiej strony nie wypada zbyt długo kazać się rodzicom nosić na rękach.

Troska o dzieci i poczucie odpowiedzialności za ich los powinny kierować już wyborem przyszłej żony względnie męża. Jeżeli wybrana lub wybrany partry na gruźlicę, psychopatię, dziwactwa, jeżeli w rodzinie był uwiad rdzenia, syfilis, gruźlica, w ogóle choroby, do których skłonności się dziedziczy albo się dziedziczą one same, grozi dzieciom niezdolność do pracy i choroba przewlekła. Nie godzi się wydawać na świat ludzi skazanych z góry na mękę, którzy będą ciężarem dla społeczeństwa, a największym dla rodziców. Jeżeli już przyszły na świat dzieci niedołężne, wtedy już tylko śmierć własna albo śmierć dzieci może tę mękę skończyć.

Dzieci mieć wolno tylko wtedy, jeżeli wolno się

spodziewać po ludzku, że będą zdrowe i będzie je komu i za co wyżywić i wychować szczęśliwie. Zaczodzi duże ryzyko moralne, jeżeli się odważa mieć dzieci człowiek po pięćdziesiątce, bo prawdopodobnie już nie zdąży ich wyprowadzić na ludzi. Podobnie, gdy się na macierzyństwo naraża kobieta niepewna, czy jej męczyzna zechce i potrafi podołać obowiązkom ojca.

Nie można też własnych obowiązków rodzicielskich przerzucać bez porozumienia i dobrowolnej zgody na barki swoich rodziców albo rodzeństwa.

Publiczny zakład wychowawczy nigdy nie zastąpi ciepła rodzinnego domu, jeżeli tylko ten dom jest naprawdę ciepły, bo się w nim rodzice kochają. Ten sam instynkt, który ludziom dyktuje troskę o własne dzieci, skłania dobrych ludzi także do pomagania w opiece nad sierotami i nad cudzymi dziećmi w zakładach publicznych i przy sposobności w domach prywatnych, które takiej pomocy potrzebują i pomagać sobie pozwalają.

Nie godzi się nawet opuszczonego kocięcia albo szczeniaka zostawiać na łasce bożej; wypada albo się nim zająć samemu, albo mu dobre miejsce znaleźć, albo zabić, aby się nie męczyło. To samo dotyczy ptaków, które wypadły z gniazda.

Jest nawet łatwiej być dobrym dla bezdomnych zwierząt niż dla dzieci ludzkich, które mają głupich albo złych rodziców. Z reguły każda matka uważa się za wykwalifikowaną i najlepszą wychowawczynią dla swoich dzieci i gotowa z pogardą i obrazą osobistą odrzucać wszelkie uwagi wychowawcze od osób postronnych. Uwagi daremne i niebezpieczne, bo mogą

się zemścić na samych dzieciach. Toteż patrząc, jak niemądra matka dręczy i psuje dziecko, najlepiej zazwyczaj milczeć, aby sprawy nie pogorszyć, bo nie zyska się nic prócz obrazy. Istnieją towarzystwa ochrony zwierząt, ale nie do pomyslenia jest towarzystwo ochrony małych dzieci przed głupotą matek i nianieek. To już wypada zostawić opatrności boskiej.

W rodzinie, gdzie jest więcej dzieci, część obowiązków rodzicielskich spada na barki starszego rodzeństwa. W razie nieszczęścia powinien i młodszy ratować starszego, jeżeli tylko może. Ważne jest to, żeby pomoce świadczone w rodzinie nie poniżały tego, komu się rękę podaje. Tak samo i poza rodziną. Dlatego lepiej nie posyłać w prezencie ubogiemu kuzynowi sześciu par znoszonych kołnierzyków.

Instynkt samozachowawczy musi równoważyć instynkt społeczny i rodzinny, bo same instynkty altruistyczne czyniłyby z człowieka bezbronną ofiarę pasożytnictwa ludzkiego i wyrachowanej chciwości. Osobniki histeryczne, leniwe, słabej woli, łatwo udają choroby i niezdolność do pracy, aby żyć kosztem kogoś z rodziny albo wyzyskiwać dobre serce ludzi obcych. To samo robią alkoholicy, morfiniści i inni nałogowcy. Jeżeli się komuś trafi taki ojciec albo syn, ten niech Bogu dziękuje, jeżeli z takiej kombinacji wyjdzie z życiem.

Zaszczepiać zyczliwość między rodzeństwem nie jest rzeczą łatwą. W każdym razie: nie protegować żadnego z dzieci i nie upośledzać żadnego, kiedy się je obdarza. Zdawałoby się, że dawanie im książek i zabawek na wspólną własność mogłoby zaszcześcić

jakieś poczucie wspólnoty między dziećmi. Niestety — skutki bywają najgorsze, bo żadne z osobna nie poczuwa się wtedy do szanowania tych rzeczy, sprzętania ich i konserwowania, a każde ma pretensję do rozporządzania nimi według własnej woli i kaprysu, a bez odpowiedzialności. Stąd nieskończone spory i wzajemne żale i walki; to podrażnia chciwość wszystkich, a nie zaspokaja żadnej. Ale można i tego sposobu próbować, jeżeli przy dzieciach jest ktoś odpowiedzialny.

Żadne z dzieci nie powinno w stosunku do innego pełnić roli szpiega, donosiciela i policjanta z ramienia rodziców. Zawiść, zazdrość i bezwzględna rywalizacja zasiewają się same aż nazbyt łatwo; trzeba unikać wszystkiego, co by je mogło podsycać, jeżeli rodzeństwo ma się życzliwie znosić i w domu, i po wyjściu z domu rodziców.

Przyczyną wielu nieszczęść i wielu krzywd w życiu rodzinnym jest zachłanny instynkt własności, który się do przywiązania miesza i usiłuje z osób bliższych robić własność prywatną osób kochających. Stąd zazdrość i dążenie do odosobnienia osoby kochanej na swój wyłączny użytek, bez względu na to, czy jej z tym dobrze, czy źle. Dlatego tak często podrastające dzieci uniemożliwiają owdowiałym rodzicom wejście w powtórny związek małżeński, choćby się on zapowiadał najlepiej; dlatego do rzadkości należą teściowie żyjący w przyjaźni z osobą wybraną przez ich dziecko. Często matka wdowa utrudnia zamęście córki, aby jej nie musiała dzielić z przyszłym zięciem, a inna już z góry drży na myśl o przyszłej synowej. Dlatego tak ciężka bywa dola najlep-

szej nawet macochy i taki ciężki bywa los pasierbów. W tym, co ludzie zwykli nazywać Kochaniem, za wiele jest zachłanności, a za mało poszanowania człowieka rzekomo kochanego. Niechby przecież miał to, czego mu potrzeba — choćby miał to mieć nie ode mnie i nie przeze mnie.

O tym też pamiętać powinni rodzice, których dzieci podrastają i z natury rzeczy muszą sobie szukać nowych stosunków i nowych zbliżeń poza domem. Zaczynają się usamodzielniać. Szczęście, jeżeli dzieci mogą i chcą się ze swymi nowymi przeżyciami rodzicom zwierzać po przyjacielsku. Szczęście i dla nich, i dla rodziców. Ale nie wolno tego od nich żądać i narzucać im pozorów zaufania przemocą: grzebać w ich szufladach i torebkach po kryjomu, otwierać listów bez pozwolenia, wdzierać się gwałtem do ich życia wewnętrznego pod rygorem posłuszeństwa i traktować dzieci dorosłych jak niemowlęta. Trzeba umieć i we własnym dziecku szanować człowieka i nie robić z niego swej własności, do której się ma prawa — nieograniczone. Taka zachłanność rodzicielska zatruwa stosunek i staje się dla dzieci torturą, a zaspokoić jej nie można.

Trudno wyczerpać wszystkie możliwe sytuacje, jakie zająć mogą między ludźmi młodymi i starymi, choćby tylko w łonie rodziny. Chodziło tylko o naskwicowanie ogólnikowe postawy duchowej, jaka się w tego rodzaju sytuacjach wydaje godziwa i ma sens. Ona już podyktuje, co robić, czego zaniechać, jak mówić, pisać, jak się zachowywać na ogół. W konkretnych wypadkach musi rozstrzygać poczucie moralne każdej jednostki z osobna.

VIII. POSZANOWANIE ŻYCIA I ZDROWIA

Na pewno nie mógłby istnieć taki ustrój społeczny, w którym by wolno było każdemu godzić na życie każdego bezbronnego. Byłby skazany na wymarcie i uciekałby z niego, kto by tylko mógł. Toteż łatwo zrozumieć, że musiał się wcześniej wytworzyć i ustalić obowiązek poszanowania życia i zdrowia współobywateli ujęty w przykazaniu: „Nie zabijaj”.

Ten przepis moralny nie mógł i nie może być brany w znaczeniu dosłownym i skrajnym: nie zabijaj nigdy nikogo i niczego, bo byłby to przepis na samobójstwo, a zatem sprzeczny wewnętrznie. Człowiek musiałby sam zginąć marnie z głodu, gdyby chciał nie zabijać nigdy żadnej istoty żywej. Wegetarianie myślą, że unikają zabijania zwierząt, kiedy się wstrzymują od jedzenia mięsa. Noszą jednak futra i rzemienie, i buty, używają szczotek i siadają na meblach wybijanych skórą, i znoszą książki w skórę oprawne — to wszystko wymaga zabijania zwierząt ssących, nie mówiąc o drapieżcach, które zagrażają życiu człowieka i zwierząt domowych. Zabijać trzeba również muchy, komary, pchły, pluskwy, wszy, tasiemce, trychiny i bakterie, jeżeli nie mamy sami zginąć. Zresztą nawet wegetarianin musi żywić się owocami, liśćmi i korzeniami roślin, a to są też istoty żywe, więc dla człowieka nie ma wyjścia

od zabijania; podobnie jak dla wszystkich organizmów, oprócz roślinnych. Wegetarianizm zatrzymuje się w połowie drogi i nie da się konsekwentnie przeprowadzić.

Jedno tylko może zrobić dobry człowiek w stosunku do istot, które musi zabijać dla utrzymania życia i dla ratowania zdrowia. Zdrowiu ludzkości służą przecież miliony świnek morskich, królików, szczurów, myszy, koni, używanych do szczepień i do badań fizjologicznych. Człowiek może je zabijać unikając przy tym, o ile możliwości, ich męki i strachu, może się nie pastwić nad nimi. W tym kierunku szły ustawy karne i działały towarzystwa ochrony zwierząt. Niestety, tu jeszcze dużo jest do zrobienia. Handlarze drobiu i bydła mają tu wiele na sumieniu, a także kucharki i gospodynie. Niejeden przestał jeść raki, kiedy zobaczył ich męki przedśmierne. Użycie samochodów ciężarowych uratowało wiele nieszczęsnych koni od głupoty i barbarzyństwa woźniców.

Żaden mechanizm nie uchroni zwierzyny leśnej od tradycyjnej morderczej zabawy myśliwych. Za nią stoi tradycja, snobizm, poezja i przywilej warstw panujących. Dawno minęły te czasy, kiedy łowy na wilki, niedźwiedzie i lisy były zajęciem poważnym, walką z wrogiem wewnętrznym, który zagrażał bydłu i ludziom. W średnich wiekach zajmowali się tępieniem tych szkodników ludzie roпорządający bronią i umiejący zabijać, przez to groźni i dzięki temu panujący, krótko mówiąc: rycerze, czyli szlachta. Łowy były dla tych ludzi zabawą zawodową, aby nie wyjść z wprawy w walce i zabijaniu, kiedy bit-

wy prawdziwej nie było. I polowanie zostało na długie wieki zabawą arystokratyczną, przywilejem warstw panujących. Dawno przestało być środkiem do pozbywania się zwierząt niebezpiecznych, a stało się celem samo dla siebie. Niejeden dzierżawił prawo polowania, aby mieć w domu za szkłem zbiór broni myśliwskiej i opowiadać znajomym, że był na polowaniu. Powstał szereg powieści myśliwskich. Myśliwy uchodził przy tym za miłośnika przyrody, a w szczególności zwierzyny, którą zabijał. Dla dyplomatów urządzano masowe mordy zganianych zwierząt, z udziałem dam. Łowiectwo stało się instytucją czcigodną pod patronatem św. Huberta. Przestało być niebezpieczne wobec nowoczesnej broni i przy nagonce, a stało się bezkarną i zaszczytną formą zabijania — jak walka byków w Hiszpanii. Łowy na ptaki to przeważnie urozmaicenie stołu.

W dwudziestym wieku zaczęli się inteligentni myśliwi wybierać do lasu i w głąb dżunglii z aparatami do zdjęć filmowych. Powstał bardzo obfity i cenny inwentarz filmów przyrodniczych do oglądania i do nauki i szereg książek takimiż zdjęciami ilustrowanych. To mogłoby świadczyć, że niekiedy postęp nauki i techniki robi człowieka lepszym. Ale nie zawsze tak jest. Na wykładach fizjologii w niektórych uniwersytetach dokonywa się i dziś wiele niepotrzebnych wiwisekcji, aby pokazać rzeczy, które i bez tego łatwo objaśnić i zrozumieć z pomocą rysunku i filmu rysunkowego. Kiedy młodzi medycy patrzą na niepotrzebne męki zwierząt w sali wykładowej, niejeden uczy się lekceważyć ból nie swój — wbrew powołaniu lekarza.

Postęp wiedzy i techniki nie każdego robi lepszym — zwiększa tylko zakres i moc działania zarówno ludzi dobrych, jak i złych. Co do wiwisekcji zaś, to wypada je uznać za dopuszczalne dla badań naukowych, gdzie są nieuniknione, a niedopuszczalne dla celów dydaktycznych.

Po średnich wiekach i przewadze rycerstwa pozostał inny zabytek obyczajowy — bardzo niegodziwy — który się utrzymuje w armii i pod jej wpływem, wbrew nawoływaniu Kościoła i ludzi rozumnych. To pojedynek. Jest to usiłowane morderstwo celem odzyskania honoru w oczach ludzi głupich i złych. Honor, czyli cześć osobista polega w rozumieniu tych, którzy uznają pojedynki, na tym, że rycerza otacza strach. Każdy się powinien bać objawić mu pogardę, lekceważenie, zaczepić go słowem, gestem lub czynem, bo on powinien zabijać każdego nie-rycerza, który mu szacunku nie objawia, a staje do pojedynku z każdym człowiekiem równego stanu, który by mu objawów szacunku odmówił. Jeżeli tego nie robi, przestaje budzić strach i wtedy wolno go bezkarnie znieważać. Łatwo pojąć, że takie poczucie i normy obyczajowe musiały się wytworzyć w klasie ludzi utrzymujących się z zabijania i z przemocy nad innymi klasami.

Wytworzył się i utarł od średnich wieków wyraz „honor”, który w ustach różnych ludzi oznacza rzeczy różne, raz poważne i cenne, raz błahe i niegodne troski.

Honor to coś, co można stracić nie robiąc nic złego samemu, tylko przez napaść człowieka złego i głupiego; można mieć stąd plamy na honorze, moż-

na je zmywać nie robiąc nic dobrego, tylko kalecząc lub zabijając jakiegoś błazna, o którego dbać nie warto, a równocześnie to jest wzniosły ideał, który powinien być droższy nad życie. Widoczne bałamuctwo i wieloznaczność. Zdaje się, że w każdym znaczeniu honor, zgodnie z pochodzeniem wyrazu, oznacza pewną cześć. I poczucie honoru objawia ten, któremu zależy na pewnej czci. Albo ze strony drugich ludzi, albo od siebie samego. W obu wypadkach może iść o cześć ze strony kogoś mądrego i dobrego albo ze strony kogoś złego i głupiego.

Wyłącznie tylko dbanie o cześć ze strony ludzi mądrych i dobrych jest zaletą człowieka i jest poważną wartością, chociaż nie najwyższą. Wolno z niej zrezygnować dla celów wyższych, nie stając się przez to gorszym. Dbanie o cześć ze strony ludzi głupich i złych jest wadą. Można ją ludziom wybaczać, nie wolno jej kłaść nikomu jako obowiązek. Wyraz „honor” i „poczucie honoru” zaciera te różnice i powoduje fatalne bałamuctwa. Trzeba się zdecydować i nie mieszać poczucia honoru z poczuciem obowiązku, z sumiennością, z poczuciem odpowiedzialności, z wiernością, z heroicznym zaparciem się siebie, z odwagą, poświęceniem własnej osoby, nawet z poczuciem własnej godności — to wszystko są poważne i wysokie zalety człowieka i na ich tle powstają najlepsze rzeczowe pobudki postępowania. W poczuciu honoru chodzi zawsze o wzgląd pośredni, zewnętrzny, o to, jak będę wyglądał w oczach cudzych lub własnych, a nie o to, jaki będę naprawdę. Wzgląd na honor jest zawsze względem na opinię — cudzą lub własną: chodzi o wygląd, o pozór,

o mniemanie i postawę uczuciową, a nie o rzecz. Dlatego też pobudki honorowe mogą się schodzić z najszlachetniejszymi, a mogą być i niegodne uwagi. Za-
leży od tego, o czyje mniemanie chodzi.

W wieku XIX układ społeczny się zmienił, ludzie zaczęli się nazywać równouprawnionymi obywatelami, sądy wzięły pod opiekę cześć każdego obywatela bez wyjątku, a jednak obowiązek pojedynku i zwyczaj pojedynkowania się przetrwał do wieku XX włącznie, mimo że jego bezsens raził nawet tych, których nie raziła jego niegodziwość.

Najprzyzwoitszy człowiek, zelżony lub zaczepiony przez jakiegoś pijaka lub brutala, który piastował tę samą rangę, musiał z nim stawać na placu i starać się go zabić lub okaleczyć ostrym narzędziem lub kulą, narażając się samemu na kalectwo lub śmierć. Choćby sam był bez porównania więcej wart od swego napastnika, choćby miał żonę i dzieci na utrzymaniu i choćby się brzydził zabijaniem głupców, arogantów i brutali. Musiał. Inaczej ogłaszano go niehonorowym i pozbawiano stopnia w wojsku. Za tym szedł bojkot towarzyski. Ten przymus zmierzał do tego, żeby w pewnej klasie ludzi nie zanikała zdolność do zabijania drugich i do lekceważenia własnego życia. Ten zwyczaj podnosił w opinii klasowej typy napastliwych arogantów i lekkomyślnych brutali. Łatwo pojąć, że utrzymywał się tak długo nie pod protekcją rolników ani kupców, ani uczonych, ani artystów, tylko specjalistów od zabijania, gwałtu i lekceważenia życia jednostki.

Zdrowy rozsądek mówi, że zbrodniarzem jest nie ten, który wybacza albo puszcza mimo uszu znie-

wagi i napaści, tylko ten, który sobie na nie pozwala. Na bojkot towarzyski zasługuje natomiast nałogowaty arogant i napastnik. Takiego należałoby uznawać niehonorowym, a nie tych, którzy nie reagowali na jego napaści. Zapewne, że wolno każdemu bronić swojej czci, ale nie wolno nastawać na czyjeś życie dlatego tylko, że ktoś jest arogantem. To byłaby przesada niegodziwa. Nie wolno w dodatku narażać własnego zdrowia i życia, jeżeli się jest porządnym człowiekiem i ma się jakieś obowiązki społeczne, dlatego tylko, że się natrafiło na jakiegoś brutala i aroganta. Można by od biedy zrozumieć tolerowanie pojedynków pośród bandytów, sutenerów i innych mętów społecznych, bo narażałyby się w nich i ginęły szumowiny; nie można dość silnie napiętnować tej tolerancji i tej praktyki pośród jednostek cennych lub chcących uchodzić za elitę.

W obronie pojedynku mógłby może ktoś podnieść to, że obrażony pojedynekowicz działa w obronie własnej, bo w obronie swej czci, którą ceni nad życie, i w obronie swego życia, które naraża na placu. Dawny przesąd mówi, że honor jest najwyższym dobrem i należy go cenić więcej niż życie własne i cudze. To przesąd. Honor nie jest tym samym, co dzielność człowieka; honor to nawet nie jest powszechne uznanie i cześć. Honor to nie jest, tym bardziej, cześć ze strony ludzi mądrych i dobrych, a tylko o taką cześć warto dbać, choć można być dzielnym człowiekiem i bez tej okraszy życia. Honor polega na tym, że ludzie dobrzy i źli, mądrzy i głupi, czują się zmuszeni do *objawów* uszanowania, nawet pozornych, fałszywych, nieszczerých, pod wpływem

obawy o swe zdrowie i życie ze strony ambitnego człowieka, któremu na tych pozorach zależy.

Wiadomo, jak umieli rezygnować z tego nie tylko święci, jak św. Aleksy, Franciszek, Filip Nereusz, Ojciec Baudouin, ale osoby świeckie też, postawione wysoko a podróżujące incognito, jak Józef II lub Elżbieta Austriacka, albo legendarny Harun al Raszyd. Każdy rozsądny człowiek zadowala się w życiu konwencjonalnymi objawami uprzejmości i szacunku, które się należą każdemu, a jeśli mu ktoś tych objawów odmawia, wiadomo wtedy, że to człowiek nieokrzesany i nie warto dbać o cześć z jego strony ani się podejmować niewdzięcznej roli dawania mu nauczek zbyt kosztownych. Byłoby szczytem niedorzeczności, żeby człowiek przyzwoity musiał osobiście i z narażeniem życia zakłuwać każdego aroganta po drodze. Trzeba się umieć obchodzić bez czci ze strony osobników źle wychowanych, głupich, pijanych, podnieconych, niezrównoważonych duchowo i cenić taką cześć mniej niż zdrowie i życie własne i cudze.

Odpowiedzialność za pojedynki spada przede wszystkim na te władze, które pojedynki tolerują i wymagają ich od ludzi zależnych. Trudno wymagać od jednostki, żeby się zdobywała na heroizm i dla zasady moralnej narażała stanowisko własne i utrzymanie rodziny. Jednostka działa pod przymusem i zwykle liczy na to, że przeciwnik okaże się jednak porządnym człowiekiem i nie będzie celował w głowę, ani w serce, tylko w powietrze albo w nogi. Wyrachowanie zawodne, bo trudno liczyć i na charakter, i na celne oko, i na pewną rękę człowieka

uzbrojonego, któremu się wmawia, że wolno mu bezkarnie, a nawet chwalebnie zabijać drugiego.

Rozmyślne zabicie człowieka wypada uznać za dopuszczalne tylko w nieuniknionej obronie własnej i drugich. Ale musi to być naprawdę obrona nieodzowna. Ona zachodzi tylko wtedy, gdy wszelkie inne środki obrony są jawnie wykluczone. Gdzie wystarczyłoby zagrozić kijem albo wszcząć hałas, nie godzi się dobywać rewolweru. Gazety donosiły przed ostatnią wojną o pewnym wypadku głośnym wtedy w Warszawie. Pewien starszy pan, słysząc w nocy, że mu się ktoś do drzwi mieszkania dobiera, zaczął się w mieszkaniu za drzwiami i widząc, że się przez zamknięte drzwi wwierca gruby świder jakiegoś niewątpliwie bandyty, strzelił przez drzwi z rewolweru, przebił kulą drzwi i na ślepo położył trupem włamywacza. Chyba przesadził, choć wiele przemawiało za nim okoliczności łagodzących. Mógł się obawiać kuli bandyty, gdyby był drzwi otworzył, i mógł się obawiać włamania jutro, gdyby był dziś poprzestał na spłoszeniu bandyty od środka. Kto po nocy ludziom drzwi przewierca, powinien być przygotowany na najgorsze, więc bandyta nie mógł liczyć na zbyt troskliwą ochronę swego życia i zdrowia ze strony napadniętych, celować nie było można, zabicie nie było zamierzone, ale nie było wykluczone. I tu zdaje się leżeć wina strzelającego. Powinien był chyba strzelać w dół, ryzykując okaleczenie nóg bandyty — on jednak trafił za wysoko i przestrzelił mu żołądek — niechący. Uratował swoje mienie, a może i życie, sprzątnął złego człowieka i przez to uratował wiele innych domów, odstraszył niejednego włamy-

wacza, który się z gazet o wypadku dowiedział. Nie jest łatwo rozstrzygnąć o wartości etycznej tego czynu: czy był dopuszczalny, czy zły, czy może dobry?

Wiele sposobności do zabijania w koniecznej i w niekoniecznej obronie własnej następuje wojna. Jednakże na wojnie zwyczajny człowiek, jeżeli kogo zabija, to zwykle z rozkazu swej władzy, którego musi posłuchać, jeżeli nie ma zginąć. Więc i odpowiedzialność moralna spada z jego barków. Działając podług rozkazu, działa także w nieodzownej obronie własnej. Nie ma innej drogi, jeżeli nie chce zginąć sam. Odpowiedzialność spada na najwyższych dowódców i w razie wygranej wojny jest żadna, a w razie przegranej bywa różnie. W każdym razie frazesem pustym jest „odpowiedzialność przed historią”. Zadaniem historyka nie jest oceniać moralnie postacie historyczne, tylko tłumaczyć ich postępowanie. W oceny bawią się tylko autorowie pamfletów i panegiryków. Znajdą się zawsze i jedni, i drudzy, ale postacie historyczne nie muszą troszczyć się o to, co o nich ludzie już piszą albo jutro pisać będą. Materiały do oceny etycznej postaci dziejowych, jeżeli się w ogóle kiedy ukazują, to z reguły dopiero po wielu latach. Bezkarność rośnie ku szczytowi drabiny społecznej, a maleje ku jej dołowi.

O jednym trzeba wspomnieć, kiedy mowa o zbrojnej obronie życia, mienia i skarbów kultury. Obrońca nie powinien nigdy używać do swej osłony domów, bibliotek, kościołów, muzeów, szkół, szpitali — w ogóle tych rzeczy, których powinien bronić. Niszczenie miast w ich obronie upowszech-

niło się w ostatniej wojnie. Obrońca stał się niebezpieczny i groźny tak samo, jak wróg. Wystawił na zniszczenie niepowetowane dobra zbiorowe. Żadna matka nie osłania się od kul ciałami swoich dzieci. Z rodzinnych progów nie godzi się robić twierdz, chociaż zachęcała do tego Konopnicka.

Jeżeli chodzi o sprawę zabijania, to zwykłych ludzi wychowuje się podczas pokoju w ten sposób, że zwyczajny porządny człowiek staje się po prostu niezdolny do odbierania życia komukolwiek i łatwiej gotów sam zginąć, niż kogoś zabić. Musi to umieć robić dopiero podczas wojny, na rozkaz. Naczelnicy społeczeństw oczywiście muszą być zdolni do odbierania życia — niekoniecznie własną ręką — bo tego wymaga ich stanowisko. Miecz należał zawsze do stroju króla.

Za dopuszczalne moralnie uchodzi zazwyczaj odbieranie życia zbrodniarzom na podstawie wyroków sądowych. W wielu krajach jednak zniesiono karę śmierci — właśnie ze względów moralnych. Zastąpiono ją wiecznym więzieniem lub zesłaniem do kolonii karnych.

Kolonie karne jednak nie poprawiają pewnych zbrodniarzy nałogowych, a wieczne więzienie wydaje się karą znacznie cięższą niż dyskretne i krótko zadana śmierć. Jeżeli już gdzieś skazywanie na śmierć wydaje się nieuniknione i godziwe, to powinno się te wyroki wykonywać tak, żeby skazańcowi oszczędzić strachów przedśmiertnych i mąk konania świadomego. Chyba żeby ktoś sam chciał. I nie opisywać tych rzeczy w gazetach, bo te opisy karmią sadyzm ludzki. A jest go i tak za wiele.

W niektórych krajach prawo karze usiłowane samobójstwo. Bo człowiek należy nie do siebie samego, ale do państwa i powinien żyć, choćby nie chciał. Prawo do samobójstwa wypadaloby zostawić ludziom skazanym na śmierć. I ludziom nieuleczalnie chorym, którzy mają przed sobą tylko męki własne i męki otoczenia. Wypada ratować samobójców niedoszłych, bo na ogół żałują później swego kroku, a zamachów na swoje życie dokonują najczęściej w afekcie i chwilowym przyćmieniu umysłu. Ale w pewnych wypadkach melancholii przewlekłej chorzy powtarzają zamachy samobójcze i odczuwają życie jako ciężar nad siły. Kiedy im otoczenie stale utrudnia samobójstwo w postaci łagodniejszej, skaczą z pięter, sięgają do form brutalnych, w których im przeszkodzić nie można. Już lepiej było zostawić im formy łagodniejsze do dyspozycji.

Samobójstwo wygląda na ogół na hańbiący wyrok śmierci, który przyroda wydaje na osobniki niegodne życia, a człowiek go sam na sobie wykonuje. Ale w ocenianiu samobójstw poszczególnych trzeba być bardzo ostrożnym, żeby człowieka nie skrzywdzić. Słusznie robią ludzie głęboko pobożni, kiedy się sami od sądenia drugich wstrzymują, a sąd zostawiają istocie, która zna wszystkie pobudki i wszystkie warunki czynu. Człowiek nigdy nie zdoła całkowicie wejść w skórę drugiego.

Kościół odmawia samobójcom uroczystości pogrzebu ze względów pedagogicznych, ale nie rozstrzyga o tym, jak Pan Bóg którego samobójcę osądził.

Z obowiązkiem ochrony życia wiąże się zagadnienie sporne tak zwanej eutanazji. Chodzi o to,

czy wolno nieuleczalnie chorym a bardzo cierpiącym skracać męki konania, czy też należy je przedłużać za każdą cenę. Lekarze i rodzina robią stale, co mogą, żeby agonię przedłużyć, jak tylko można. Nikt się nie zastanawia nad tym, czy w ten sposób wyświadcza się choremu przysługę, czy też wyrządza mu się krzywdę. Zdaje się, że tam, gdzie o polepszeniu nie może być mowy, a cierpienia rosną, powinien chory sam żądać środków uspokajających, znieczulających i nasennych, zamiast podniecających serce i nerwy. Byłoby rzeczą najbliższych nie odmawiać mu tego. Jeżeli chory chce inaczej, niechże się męczy.

Nie powinien tylko chory żądać strzałów rewolwerowych ze strony osób bliskich, jeżeli sam nie ma na to odwagi. Byłoby to niegodziwe obciążanie drugich odpowiedzialnością za własny czyn, którego drudzy byliby tylko narzędziem.

Jeszcze jedno zagadnienie zostaje w związku z poszanowaniem życia i zdrowia. To sprawa przerywania ciąży.

Ci, którzy tych zabiegów zabraniają bezwzględnie, opierają się na dosłownym brzmieniu piątego przykazania. Widzieliśmy poprzednio, że to przykazanie, wzięte dosłownie i bezwzględnie, utrzymać się nie da i wychodziłoby w wielu wypadkach na obowiązkowe samobójstwo. Więc nie trzeba się na ten tekst powoływać. Bo wtedy by i amputacje były niedopuszczalne. Przecież odcina się ludziom nieraz żywe nogi i żywe ręce i zabija się części ciała, których życie jest niebezpieczne dla życia całej jednostki ludzkiej. Mężczyzna, który żyje wstrze-

mieźliwie, skazuje tym samym na śmierć miliardy plemników, które wciąż wytwarza, a kobieta tak samo doprowadza wciąż do śmierci komórki jajowe swego organizmu i nikt nie może mieć do niej o to pretensji. Zarodek, czyli zapłodnione jajko, jest częścią ciała matki.

Nie można nikogo zmuszać do macierzyństwa niepożądanego, bo to jest przeciwne interesom przyszłego dziecka i może być zgubne dla mimowolnej matki. Dziecko niepożądane nie ma warunków normalnego rozwoju i wydawanie go na świat jest rzeczą sumienia rodziców. W wieku XX ustawy zaczęły dopuszczać przerywanie ciąży w wypadkach poważnych, gdzie byłyby narażone zbyt wielkie wartości przyszłych matek i przyszłych dzieci. W tym samym kierunku szły oceny i praktyki sumiennych lekarzy. Rzecz jasna, że lepiej zła nie dopuszczać, zapobiegając mu z góry, niż powstałe usuwać. Sztuczne poronienia są niebezpieczne dla organizmu niedoszłej matki.

Zwolennicy zasady, że każdy płód powinien być donoszony i każda ciąża winna się skończyć porodem, powołują się na to, że nade wszystko chodzi o przyrost ludności. Temu się powinny podporządkować interesy pokolenia obecnego. Trzeba się jednak zastanowić, czy w interesie społeczeństwa jest przyrost dzieci zaniedbanych, głodnych, dziedzicznie obciążonych, niewychowanych, czy też tylko przyrost dzieci zdrowych i zabezpieczonych, dopóki nie dojrzeją. A takie są tylko dzieci pożądane.

Spółeczeństwo musiałoby też naprzód zmienić swój stosunek do nieślubnych matek i dzieci, za-

nim zacznie od każdej kobiety, która zaszła w ciążę, wymagać, żeby rodziła z własną szkodą i ze szkodą dziecka.

Często życie i zdrowie ludzkie pada ofiarą nie skutkiem wyraźnego zamiaru z czyjejś strony, tylko przez niegodziwe lekceważenie i niedbalstwo. Tego się dopuszczają na przykład ci, którzy w budowie domów wprowadzają lokale bez światła i powietrza, a nawet bez okien, i tam muszą ludzie przebywać i mieszkać. Należyte wietrzenie lokali jest dopiero rzeczą różowej przyszłości. Szpitale stoją nieraz w środku miasta w hałasie, dymie i kurzu głównych ulic, zamiata się ulice bez polewania ich wodą, nieczystości wywozi się w wozach otwartych, zamyka się ogrody publiczne wieczorami i uniedostępnia się je wiosną; kominy fabryczne zadymiają plantacje miejskie. Wiele mają do roboty przyszli urbaniści, jeżeli chodzi o godziwe rozplanowanie i urządzenie miasta.

Już przed wojną, ale dopiero w wieku dwudziestym, zaczęły władze dbać o ochronę życia i zdrowia robotników przy maszynach i lokalach fabrycznych, o bezpieczeństwo myjących okna na wysokościach, o trzeźwość i niezbyt szybką jazdę kierowców, a poszły zbyt daleko w krepowaniu ruchu pieszych, zmuszając ich do nakładania drogi nawet w miejscach bezpiecznych.

Minęły wieki, zanim władze ograniczyły ilość godzin pracy i ustaliły urlopy wypoczynkowe dla pracowników, pomoc lekarską, opiekę społeczną, ubezpieczenia na starość i w razie wypadku. Nie udało się zwalczyć fałszowania środków żywności.

Chciwość widnieje w spisie grzechów głównych, zawartym w każdym katechizmie. Grzechy główne to dyspozycje uczuciowe, na których tle powstają najczęściej pobudki do wielu różnych przestępstw. One też najczęściej prowadzą do zbrodni przeciwko życiu i zdrowiu ludzkiemu. W tym spisie na pierwszym miejscu widnieją: 1. pycha, potem 2. chciwość, którą w polskich katechizmach nazywają łakomstwem, 3. nieczystość albo rozpusta, która wychodzi na nadmierną i nieopanowaną czynność narządów rozrodczych, 4. zazdrość, 5. obżarstwo i pijaństwo, 6. gniew i 7. lenistwo.

Łatwo sobie w myśli przejść dowolne znane wypadki, w których ktoś nastawał na życie i zdrowie drugiego bezpośrednio, albo mu życie zatruwał powoli, albo je tylko lekceważył, a pokaże się, że pobudki takiego postępowania wpływały istotnie z którejś z wymienionych dyspozycji. Więc albo tam szło o obrazę osobistą — wtedy złem była pycha; albo o zysk, o pieniądze — wtedy chciwość; albo to robiła osoba zakochana, jak się to mówi — wtedy złem było nieporządne podniecenie płciowe, a więc nieczystość; albo szło o zazdrość, albo się to działo pod wpływem alkoholu, albo w przystępie gniewu i przez zemstę, albo w końcu: z lenistwa i z nie-dbalstwa.

Brak w tym spisie największego i najpospolitszego grzechu głównego. Tym grzechem jest głupota, zwana inaczej ciemnotą, brakiem oświecenia, nierozsądkiem, niedorozwojem umysłowym albo niedowładem kory mózgowej. Kto nastaje na życie drugich albo nałogowo lekceważy ich zdrowie, ten najczęściej nie

wie i nie potrafi dojrzeć, że szkodzi też samemu sobie i nie przewiduje, jaki przez to los gotuje dla siebie i dla swoich bliskich. Choćby uniknął kary sądowej. Daje przecież zły przykład, upowszechnia zło, które i jego samego może kiedyś dotknąć, a zjadając drugich zatruwa się własnym jadem. Łatwo sam przeżywa nienawiść, złość, wściekłość, poczucie niemocy, bezsilności, nawet czuje się sam prześladowany i narażony, i skрэpowany. Marny los.

Zapyta ktoś w tym miejscu, co znaczy wyraz „grzech” w pogadance świeckiej i w jakim znaczeniu można głupotę nazywać grzechem. Ona przecież zdaje się raczej zwalniać człowieka od odpowiedzialności moralnej. Kto nie wie, co czyni, wydaje się niewinny.

Otóż grzechem w katechizmie nazywa się *przekroczenie* prawa bożego, popełnione świadomie i bez konieczności.

W pogadance świeckiej nie można mówić o żadnych zjawiskach bez konieczności. Dlatego, chcąc używać wyrazu „grzech”, rozumiemy przez ten wyraz tylko: działanie przeciwne instynktowi społecznemu. Działanie konieczne, rzecz oczywista, ile razy się zjawia. A zjawiać się takie działania muszą, bo człowiek ma nie tylko sam instynkt społeczny, ale ma, oprócz niego, walczące z nim instynkty osobnicze. One go popychają do zdobywania dla siebie samego tylko tych rzeczy, które mu się wydają dobre i przyjemne dla niego samego, bez względu na przyjemność i dobro drugich. Ile razy człowiek ich posłucha, bo się w nim nie dość głośno albo wcale nie

odezwał instynkt społeczny albo zdrowy rozsądek, popełnia wtedy czyn zły, występki, odpowiednik grzechu uczynkowego, czyli aktualnego w języku katechizmu.

Przenośnie można czyn zły też nazwać nieposłuszeństwem głosowi bożemu, bo nic nie przeszkadza nazywać instynktu społecznego głosem bożym w duszy ludzkiej.

Dyspozycje, na których tle liczne występki muszą powstawać — to są wady obyczajowe. *Vitia* w języku katechizmu. Otóż do wad obyczajowych wypada zaliczyć, jako ich źródło najobfitsze, ograniczenie umysłowe, które człowieka czyni ślepym na ból i strach innych istot żywych, na ich pokrewieństwo z nami i na następstwa czynów złych. Niejeden człowiek jest za głupi na to, żeby mógł być dobry, i niejeden idiota puścił z dymem chałupę, aby oglądać coś jak pożar Rzymu w miniaturze. Dlatego lepiej z mądrym zgubić, niżli z głupim znaleźć. Głupi niedźwiedz u Lafontaine'a zabił kamieniem pustelnika-przyjaciela, żeby mu spędzić muchę z nosa. Głupi chłop u Krasickiego zamiast wilka, co uciekł, zabił własne ciele, ponieważ, broniąc go, pałką „jął machać, nie myślawszy wiele.” A że takie rzeczy spostrzegać można co dzień, więc mówimy, że głupota jest kapitalnym źródłem postępów złych, niedopuszczalnych w społeczeństwie — nawet przy dobrych chęciach jednostki.

W tym znaczeniu nazwaliśmy ją grzechem głównym. Ona nie zwalnia człowieka od odpowiedzialności, bo znaczyłoby to, że głupiego należy zostawić

i nie ruszać go, nie zajmować się nim wcale, bo on jest niewinny jak baran. A jest wprost przeciwnie. Głupim trzeba się zająć: uczyć go i unieszkodliwiać. To mu się należy, na to on zasługuje i to jest odpowiednik kary dla niego. Taka jest jego odpowiedzialność: podlegać nauczaniu i ograniczeniom.

Z zasady poszanowania życia i zdrowia ludzkiego wynikają w końcu obowiązki względem siebie samego. Więc nie chodź z katarem i z grypą między ludzi, nie kaszłaj im w twarz i nie kichaj, myj ręce, czyść paznokcie i zęby przy rannej toalecie, a nie przy stole, myj się często i dokładnie, aby po twojej wizycie nie było trzeba okna otwierać.

Nie wylewaj i nie wysypuj swoich brudów przez okno i nie rzucaj pestek na chodniki. W tramwaju i w pociągu nie zasłaniaj sobą okien, szukając dla siebie samego widoku i powietrza, i stale o tym pamiętaj, że nie jesteś sam jeden na świecie i że ludzie to nie marionetki, i że to nie jest natrętne i nieznośne tło dla twojej osoby, tylko istoty potrzebujące na ogół tego samego, co i ty. Więc tak z nimi postępuj, jakbyś chciał, żeby z tobą postępowano. Ta maksyma ostatnia jest niebezpieczna, jeżeli idzie o ludzi źle wychowanych i nie nawykłych do stosunków, przyjętych między ludźmi cywilizowanymi. Także wśród masochistów, którzy dla siebie szukają poniżeń.

Nie wyczerpiemy wszystkich możliwych wypadków, objętych zasadą poszanowania ludzkiego życia i zdrowia. Pominęliśmy nawet najjaskrawsze. Ogólnikowo zarysowała się jednak postawa duchowa, o którą idzie. Przejdźmy do innych obowiązków.

IX. POSZANOWANIE ŻYCIA OSOBISTEGO

RÓŻNE STOSUNKI OSOBISTE

Stosunek osobisty pomiędzy dwoma albo dwójgiem osób polega na tym, że przynajmniej jedna z nich lub obie jakoś się do siebie uczuciowo odnoszą. Może więc między ludźmi zachodzić stosunek osobisty dodatni, ujemny lub obojętny. Obustronny lub jednostronny. Wzajemny symetryczny lub wzajemny kontrastowy.

Stosunki osobiste mogą zachodzić albo między osobami tej samej płci, albo łączą dwie osoby płci różnej. Dodatnie stosunki osobiste mogą powstawać na tle instynktu społecznego i dawać wtedy współzycie, które się nazywa przyjaźnią, albo powstają na tle instynktu rozrodczego. Wtedy się mówi o miłości. Jeżeli tłem współzycia jest instynkt posiadania, własności prywatnej, powstaje stosunek pana i niewolnika, albo pasożyta i ofiary. Stosunek osobisty może mieć w tle nie tylko jeden z tych instynktów, ale dwa lub trzy na raz. Stąd różne może być jego zabarwienie.

Stosunki osobiste mogą być wolne, kiedy ludzie w nie wchodzą i trwają w nich tylko pod własnym przymusem wewnętrznym, a mogą być i przymusowe, kiedy jedna ze stron, albo państwo, wywiera nacisk na drugą i nie pozwala jej kierować się własnymi tylko przymusami wewnętrznymi. Mogą

być szczerze i nieszczerze i mogą być rzetelne, kiedy obie strony na nich równie dobrze wychodzą i mniej więcej równie dobrze się w nich czują. Nierzetelne stanowią różne postacie umyślnego lub mimowolnego wyzysku.

Równie doniosłe, jak dodatnie stosunki przyjaźni i miłości, są ujemne wrogie stosunki na tle niechęci, nienawiści. Zatem dużo jest różnych rodzajów stosunków osobistych — nie wyliczamy wszystkich — i na ich tle powstają różne obowiązki.

SZANUJ MIŁOŚĆ — NIE: SZANUJ INWENTARZ SĄSIADA

Tak samo, jak trzeba szanować życie i zdrowie drugich, tak samo trzeba szanować ich inne dobra, a dodatnie stosunki osobiste należą do największych dóbr człowieka. Trzeba więc szanować ludzkie uczucia miłości i przyjaźni i stosunki na nich oparte. Tak wypada uzasadnić tradycyjne przykazanie „Nie cudzołóż!”, a nie wypada go uzasadniać tym, że kobieta zameżna jest własnością mężczyzny podobnie, jak jego było domowe i zwierzęta juczne, a mąż stanowi prywatną własność swojej żony.

SZANUJ SPOKOJNE ZWIĄZKI

Dobro małżeńskie zasługuje na szacunek, jako związek dwojga ludzi dojrzałych i gniazdo ich dzieci. Nie godzi się wtrącać pomiędzy tych ludzi i trzeba unikać wszystkiego, co by ich mogło poróżnić i oddalić od siebie. Nie budzić zazdrości, któ-

ra zawsze gdzieś drzemać może. Już tu się zaczyna obowiązek poszanowania dobrego małżeństwa. Nie wolno oświeślać ujemnie jednego z małżonków wobec drugiego. A które małżeństwo jest dobre? To, w którym się ludzie kochają nawzajem i jest im dobrze z sobą.

— Ależ takie małżeństwo jest ubezpieczone przez to samo od złych wpływów zewnętrznych, powie ktoś, i nic mu nie grozi od osób postronnych. Bo kto jest kochany i wie o tym, ten się czuje bezpieczny od ataków zazdrości i nie słucha napaści na osobę kochaną, tylko je odpiera z góry.

Zapewne. Może być i tak, ale być tak nie musi, bo nie każda osoba kochana czuje się dość kochana i nie każda jest tego dość pewna, i niejedna, zamiast się nacieszyć swoim dobrym dziś, drży z góry o swoje złe jutro, i niejedna ulega jadowi plotek, przed którymi sobie daremnie uszy zatyka. Intryga umie się też posługiwać chytrymi drogami i zrzucać z siebie odpowiedzialność.

Zaczem i dobre małżeństwa są narażone z zewnątrz, jeżeli nie żyją na pustyni, tylko między ludźmi. Więc nie można całkowicie polegać na tym, że gdzie nie ma pomiędzy dwojgiem ludzi miejsca pustego, tam się nikt trzeci nie zmieści. Jeżeli się ktoś nosi z niezaspokojonym popędem płciowym, najlepiej zrobi, jeżeli szczęśliwe związki swoich znajomych delikatnie omija. Szczególniej jeżeli jest piękniejszy, mądrzejszy, lepszy, ciekawszy, bardziej pojętny niż osoba tej samej płci związana węzłem szczęśliwego małżeństwa. Do domu najlepiej wprowadzać osoby brzydkie i nieciekawe, jeżeliby szło

o uniknięcie wszelkich pokus na tle zazdrości. Jednakże prowadziłyby to w konsekwencji do linewki, kagańca i okratowanej budy.

Plotek nie uniknie się nawet i wtedy; złe języki zaczepiają nawet gospodynie osób duchownych, chociaż te z reguły mają więcej niż czterdzieści lat i nie uchodzą za wzory piękności.

Odosobnić się niepodobna, otaczać się potworami trudno, ale szczęśliwe pary małżeńskie nie powinny żyć w ciągłym niepokoju o swoje szczęście i w ciągłym stanie wzmocnionej ochrony według recepty Balzaka.

W szczęśliwym pożyciu wytwarza się przywiązanie do tej właśnie osoby — nie dlatego, żeby się wydawała chodzącą doskonałością, tylko dlatego, że jest właśnie sobą i nie da się zastąpić nikim innym. Asekuracji na miłość nie ma i być nie może. Jeżeli czyjeś serce i temperament okwitnie, nie pomogą druty i druciki przymusu i obowiązku. Trzeba wtedy ratować przyjaźń i szacunek i szanować pamiętki, a nie dobijać się o to, czego nikt sobie i drugiemu nie odmawia, jeżeli tylko potrafi.

MIŁOŚĆ PRZEMIJA. NIE PISZ NA WODZIE

Miłość jest przejściowym zaburzeniem życia duchowego i ludzie muszą prędko umierać, jeżeli ich miłość ma być dozgonna. W najlepszych wypadkach przechodzi w przyjaźń, szacunek, nawyk, lojalną spółkę życiową. Tylko papierowe kwiaty nie więdną nigdy. A nawet i papierowe pełzną i przypadają kurzem. Jak nie można od nikogo wymagać, żeby był

niemowlęciem w ciągu długich lat, tak samo nie można do nikogo mieć pretensji, żeby całe życie kochał tak, jak w miodowych miesiącach. Rozumny i sumienny człowiek nie może nikomu przyrzekać, że go będzie kochał do śmierci, choćby mu się zdawało, że tak będzie, i choćby tak miało być naprawdę.

Można zawierać związki dozgonne, tylko ich nie trzeba opierać na dozgonnym zakochaniu i od tego ich uzależniać. Filemon i Baukis albo Kraszewskiego Dziad i Baba kochali się — mówimy — ale ten wyraz znaczy wtedy nie to samo, co kiedy się mówi o Romeu i Julii. W każdym razie nie godzi się atakować, rozluźniać i rozrywać szczęśliwych, spokojnych związków między ludźmi, bez względu na to, czy są legalne, czy wolne. Trwałe spokojne współżycie należy się nie tylko osobom dojrzałym, które w tym związku żyją, ale tak samo ich dzieciom, które z tego związku wyrosły albo wyrosnąć mogą. Dzieci muszą mieć spokojne, pewne i ciepłe gniazdo. Cementem do budowy dobrych gniazd rodzinnych jest wzajemna miłość i przyjaźń rodziców.

ZŁA NATURA CZY NIEDOSKONAŁA ZASADA?

Spokój życia rodzinnego jest często narażony ze strony samej natury. Dlatego że instynktowne pragnienia obu płci nie idą w parze z ustaloną formą pożycia, którą wytworzyła kultura europejska. Tą formą jest monogamiczne dozgonne małżeństwo. Ono nie byłoby narażone, gdyby się instynkt rozrodczy obu płci z chwilą zawarcia związku automatycznie

koncentrował i ograniczał do osoby wybranej, i gdyby roztaczanie uroków seksualnych było dozwolone wyłącznie tylko w sypialniach małżeńskich, a nigdy w teatrach, na wystawach sztuki, koncertach, balach i na ulicach. Gdyby w tym duchu były ustalone i stroje, i sposoby bycia obu płci. Raczej tak, jak na Wschodzie, w Azji, gdzie kobieta chodzi jak zakonnica, a sztuka figuralna nie istnieje. Choćby tak, jak w starożytnej Grecji, gdzie kobieta była schowana i strzeżona w domu ojca lub męża.

Ale i tam nawet natura ludzka nie chciała się dostosować do instytucji małżeństwa monogamicznego; potrzeby seksualne mężczyzn wytworzyły i tam prostytucję i jawne lub tajne wielożeństwo. To już tak jest. Na ogół mężczyzna o bujnym temperamencie jest skłonny do stosunków z wieloma kobietami. Nie do trwałego pożycia z wieloma, nie do tego, żeby być dobrym ojcem dzieci wielu kobiet — to byłoby nad siły i nie leżałoby na linii pragnień żadnego mężczyzny: być odpowiedzialnym ojcem wielu różnych rodzin.

POPĘD U MĘŻCZYZNY OSTRY, U KOBIECY PRZEWLEKŁY

Niezaspokojony instynkt rozrodczy wywołuje u mężczyzny przygnębienie i niepokój, obniża jego zdolność do pracy, wypędza go z domu, sprowadza opętanie obrazami seksualnymi dniami i nocą, przewrażliwia go i przeczula na podniety seksualne, dysponuje do onanii i każe mu brać pierwszą lepszą kobietę przy pierwszej lepszej sposobności. Podniecony, wygłodzony młody mężczyzna kocha od

pierwszego wejrzenia. Kocha szczęśliwie i nieszczęśliwie, osoby wymarzone i osoby konkretne, znane z życia i z powieści, kuzynki, ciotki, koleżanki, osoby znane i nieznane, piękne kocha z uwielbieniem, brzydkie z litości, mądre z czcią, głupie dla pocieszenia, starsze z odcieniem synowskim, młodsze z ojcowską, równolatki po koleżeńsku. Jedne afekty nie przeszkadzają drugim. Najlepszy wydaje mu się ten stosunek, którego żadnym innym zastąpić nie potrafi, a który żadnego innego nie wyklucza. Z młodego człowieka o bujnym temperamencie przyroda robi źródło ochłody chwilowej dla wszystkich niezaspokojonych kobiet. Obiegają go też jak mrówki grzyb leśny woniejący padliną. Bo pożytek z niego mały. U każdego mężczyzny podniecenie erotyczne ma charakter gwałtowny, zapalny, nagły i kończy się momentalnie z chwilą zaspokojenia oprzytomnieniem i ulgą albo snem. Jak gdyby rola mężczyzny wobec kobiety była skończona z chwilą, gdy mu się kobieta oddała.

Z mężczyzny o temperamencie średnim lub chłodnym jest dla kobiety większy pożytek. Bo naprzód wystarcza mu aż nadto kobieta raz wybrana, jak długo jest ponętna. Gdy zacznie wędnąć, kończą się i u niego albo przygasają potrzeby erotyczne i przychodzi na oboje spokojna starość. Mężczyzna o temperamencie bujnym i nieugaszonym naprzód nie pilnuje domu, a potem męczy się cicho lub jawnie, kiedy mu wrażliwość na ponęty erotyczne została, a osoba wybrana okwitła, nie zatracając potrzeb erotycznych.

U kobiety instynkt rozrodczy objawia się na ogół

inaczej. W okresie dojrzewania wywołuje również niepokój i niezdolność do systematycznej pracy, budzi potrzebę pieczyoty i serdeczności i pogrąża dziewczę w marzeniach. Przychodzi okres kochania się w nauczycielkach, nauczycielach, spowiednikach, aktorach kinowych, sławnych ludziach, kuzynach, kolegach, ale te zakochania się mają raczej charakter przewlekły.

Dla chłopca najczęściej romans się kończy z chwilą zdobycia kobiety. Reszta już nie jest ciekawa. Dla kobiety to jest początek powieści. Kobieta potrzebuje dziecka, czy o tym wie, czy się tego wypiera. Dlatego potrzebuje mężczyzny na stałe. I dla siebie, i dla dziecka, choćby go mieć nie mogła i nie chciała. Bywa, że i dziewczyna wabi i uwodzi trzech chłopców na raz, pokąd nie natrafi na swego, ale kiedy swego znajdzie, wtedy nie puszcza, choćby go nigdy posiąść nie miała i nigdy nie miała zostać matką jego dzieci.

Kobieta potrzebuje z natury trwałego stosunku z jednym mężczyzną i obowiązująca monogamia jest dostosowana do natury najczęstszej u kobiet. I jest na ogół w interesie kobiety.

ŚLUB — PUŁAPKA

Dla mężczyzny, i dla kobiety, ślub jest pomysłany jako pułapka. Jeśli kobieta źle wybrała, nie ma i dla niej wyjścia. Unieważnienie małżeństwa jest dostępne tylko dla najbogatszych. Formalności rozwodowe są tak nieznośne, że mało kto się decyduje wejść na tę drogę.

Pomyłki życiowe są nieuniknione i każdą można poprawić. Jeżeli się ktoś minął z powołaniem wybierając sobie zawód nauczycielski, może jeszcze zostać lekarzem albo inżynierem, kto się źle ożenił albo źle wyszedł za mąż, nie ma wyjścia innego, tylko śmierć drugiego małżonka. Ta norma obyczajowa, jak łatwo zgadnąć, jest przyczyną wielu morderstw, samobójstw i szantażów. Rozwiązanie stosunku nielegalnego bywa jeszcze trudniejsze niż rozwiązanie złego małżeństwa, jeżeli jedna ze stron pragnie odejść wbrew woli drugiej strony.

ŚLUB LUB GRZECH

Małżeństwo monogamiczne i nierozzerwalne jest w bardzo niewielu wypadkach naturalną formą współżycia dwóch płci i wtedy jest szczęśliwe. Dla większości jest formą nienaturalną. Dlatego mówi się o wrodzonym zepsuciu natury ludzkiej od czasów raju i grzechu pierworodnego. Nie norma obyczajowa jest niedoskonała, mówi się, skoro jest sprzeczna z naturą, tylko natura jest zła, skoro jest sprzeczna z uświęconą normą. Dlatego cała dziedzina życia erotycznego poza małżeństwem została uznana za dziedzinę grzechu i zła, dziedzinę pokus szatana i występku nieczystości. Mówi się o „niewinności” dzieci przed okresem dojrzewania, wyrzeczenie się wszelkiego życia płciowego uchodzi za warunek doskonałości moralnej. Na miejsce postaci starożytnych bóstw nagich przysły postaci szczelnie okutane i pozbawione życia płciowego. Ta ascetyczna postawa duchowa obowiązuje podczas nabożeństw i spowie-

dzi w godzinach porannych, dopuszcza jednak operetki, tanie rewie i lekturę powieści przed pacierzem wieczornym. Ludzie nauczyli się żyć w tym grzechu i oczyszczają się rytualnie z grzechów co jakiś czas, aby do nich wracać, bo „natura ludzka jest ułomna”, jak mówią.

Wszystkie czynności życiowe cywilizowanego Europejczyka są ujęte w pewne karby ze względów higienicznych i społecznych, ale żadna nie jest tak obostrzona, zakazana, wyklęta i wyjątkowo tylko dopuszczalna, jak objawy instynktu rozrodczego. To jasne, że rygory być muszą, bo chodzi o odpowiedzialność za możliwe dzieci, życie płciowe nie może stanowić dzikich pól do swobodnych harców chwilowych zachcianek ludzkich. Grozi przecież syfilis i inne choroby zakaźne i grozi ojcostwo względnie macierzyństwo i nieszczęsne życie dziecka nieślubnego.

W okresie dojrzewania zaczyna się w ludziach wytwarzać niebezpieczny materiał wybuchowy instynktu rozrodczego, który działa z siłą żywiołu i może przynosić nieobliczalne szkody i nieszczęścia, jeżeli go człowiek nie opanuje i nie ujmie w karby rozumne.

Najłatwiej przejść przez życie osobom, których instynkt rozrodczy odzywa się cicho i nie za wcześnie i niezbyt późno. I jeżeli się daje przedstawiać na zainteresowania pracą jakąś i sportami. Nieczęsto się to udaje. Eros i Afrodyta przestały być dla nowoczesnych ludzi dobrymi bóstwami — zesłi oboje na diabły i trzeba je dopiero poświęcać i pilnować skrupulatnie.

ZWYKŁE DROGI INSTYNKTU ROZRODCZEGO

Widzieliśmy ciasne ramy społeczne instynktu rozrodczego, zobaczmy i drogi, którymi musi chodzić.

Odruchy i stany pobudzenia narządów płciowych można obserwować już u niemowląt. I już u małych dzieci często się zjawia nałogowa onania. Około dziesiątego roku życia doznają chłopcy pobudzeń płciowych ze strony ciotek, które ich biorą na kolana i obsypują pieścizotami, a poza tym chłopcy wywołują je u siebie sami zjeżdżając po gładkich poręczach schodów i drążkach do gimnastyki. Także w zabawach z rówieśnikami pod pozorem mocowania się w udanych walkach. U dziewcząt kokieteria i podniecenie w towarzystwie męskim zjawia się, zanim się jeszcze mówić nauczą.

Dzieci interesują się życiem erotycznym swego otoczenia i ulegają zakochaniu w latach, kiedy rodzice są o sto mil od tego, żeby je o to podejrzewać, i wierzą naiwnie w zupełną na tym punkcie nieświadomość i niewrażliwość malców. Nie znaczy to jednak, żeby zakochanie się w matce i nienawistna zazdrość o ojca były tak powszechne, jak się to wydawało freudystom.

Dzieci chowają się na ogół w zupełnej nieświadomości życia płciowego, ponieważ rodzice sami go nie rozumieją i nie znają, jeżeli nie mają wykształcenia przyrodniczego, i wstydzą się mówić o tych sprawach. Myślą, że tak jest nawet lepiej, bo po co dziecko niepokoić informacjami, które mu nie są na razie potrzebne. Niech śpi na razie. Jednakże ten sen nie jest ani spokojny, ani głęboki. Bo niepokoją

dziecko wciąż zakazy niezrozumiałe: „Nie pytaj się o takie rzeczy, nie mów tak, nie siedź tak, to nie dla dzieci, jeszcze za mały na to” itp.

Dziecko bardzo wczesnie nabiera przekonania, że między starszymi jest jakaś sprawa nieczysta, o której się przy dzieciach nie mówi, i że to jest miłość. Dla dzieci to zakazane całkiem, a dla starszych też, ale sobie pozwalają po cichu. Są też dzieci uświadomione od początku, ale uświadomione brzydko i źle. Sądzą, że miłość to brud życia, którego ślady czują i słyszą w przezwiskach, w obelgach, w gniewie i w umizgach pijanych sąsiadów.

I tak przychodzi okres dojrzewania. Teraz się grzeczne dzieci dowiadują, że znalazły się we władzy grzechu i szatana. Że noszą odtąd w sobie nieugaszony impuls do grzechu, jak wszyscy ludzie dorośli. Dzieci bardzo grzeczne i poważne zaczynają się teraz tą myślą dręczyć i wpadają w urojenia przesładowcze, niegrzeczne poprzestają na grzechach popełnianych myślą i słowem, a bardzo niegrzeczne, zepsute, zaczynają przedwczesne życie czynne z osobami drugiej albo tej samej płci. Pojęcie grzechu staje się dla nich czymś tylko od uroczystości kościelnych na święto, a czymś zabawnym na co dzień. Nie tylko dzieci zachowują tę postawę duchową. Dorośli też. O ładnej dziewczynie, a jeszcze łatwiej o wdowie albo o mężatce mówi się potocznie, że jest warta grzechu, i nikogo ten zwrot nie gorszy. Mówi się, że młode piwo musi wyszumieć, myśląc równocześnie, że na ten szum nie ma miejsca poza grzechem.

Chłopiec może się z reguły ożenić dopiero około lat

trzydziestu — więc przez lat piętnaście zdrowy, bujny temperament nie ma innego pola dla swego instynktu płciowego tylko to, które się nazywa grzechem. Dziewczyna też nie od razu może wyjść za mąż, więc i dziewczyna musi męczyć się i szarpać, lawirując wciąż między pokusami i okazjami do grzechu.

Najciężej przechodzą ten okres typy poważne, które chcą być proste i konsekwentne, nie chcą inaczej mówić i myśleć, a inaczej postępować. Innym jakoś to się udaje: pogodzić minę namaszczonej przy wygłaszaniu ascetycznych zasad z praktykami ułomności natury ludzkiej. Powszechnie szanowane i przyjęte zasady moralności służą przecież do tego, żeby je wygłaszać i potępiać tych nieostrożnych, którzy je przekraczają jawnie, a nie służą do tego, żeby według nich żyć naprawdę, bo „ludzie są ułomni”. To zupełnie tak, jakby się od ludzi wymagało, żeby latali na skrzydłach ponad ziemią, i wszyscy powinni to udawać, chociaż wiadomo, że wszyscy chodzą nogami po ziemi. Tego się należy wstydzić, bo to jest ułomność natury ludzkiej; na to można sobie pozwalać, ale tego nie wolno wybaczać ani sobie, ani drugim.

Tak tedy i młodzi ludzie stanu wolnego udawać muszą brak życia płciowego, a żyją, jak się trafi.

W wieku XIX zabawy karnawałowe otwierały pole do zetknięcia się towarzyskiego dwóch płci. Na tym terenie miały się dobierać przyszłe pary pod okiem rodziców. W wieku XX rozszerzyło się to pole, odkąd kobiety zaczęły zapępniać sale wykładowe w wyższych zakładach naukowych i brać udział w ćwiczeniach sportowych. I to był postęp. Bo lepiej,

żeby się przysze pary poznawały przy jakiejś pracy niż w sztucznej atmosferze sali balowej.

Dla młodzieży, chowanej poprzednio w ścisłym odosobnieniu od drugiej płci i w pozornej lub w rzeczywistej nieświadomości życia płciowego, przychodził okres wielkich niebezpieczeństw. Jedni chłopcy, nawykli do ascetycznej walki i gwałtu zadawanego samemu sobie, unikali dziewcząt jak pokusy; drudzy byli nawykli do stosunków z prostytutkami i otaczali dziewczęta podniecone a przystępne. Sposobności do kontaktów łatwe i nieuniknione. Możliwość nawiązania stosunku była duża, ale nie zawsze stosunku dobrego, który by dawał jakieś gwarancje trwałości.

W Niemczech i we Francji były w zwyczaju przelotne związki studentów z córkami właścicieli mieszkań, gdzie młody człowiek odnajmował pokój, ze szwaczkami, z pannami sklepowymi — w Ameryce propagowano małżeństwa koleżeńskie na próbę — w Polsce tego zwyczaju nie było.

Tam, za granicą, przelotne nieślubne stosunki poprzednie nie przeszkadzały później kobiecie wyjść za mąż i być dobrą żoną i matką. W Polsce młodzieńiec zbyt często bywający w domu wiązał pannie życie. Jeżeli się nie ożenił, byłaby osławiona. Niedobra małżeństwo uchodziło nieraz za lepsze niż odejście młodego człowieka i zostawienie panny na koszu.

Małżeństwo jest dla kobiety zupełnie czymś innym niż dla mężczyzny. Małżeństwo jest dla kobiety zawodem, posadą, stanowiskiem, podstawą utrzymania, zabezpieczeniem, i jeśliby tylko chciała, syneku-

rażą dożywotnią. Syna trzeba wykształcić, żeby mógł czymś być, zdobyć jakieś stanowisko; córkę trzeba za kogoś wydać, komuś ją upchać. Jeżeli będzie miała oprócz tego jakąś pracę, to tym lepiej, ale podstawą utrzymania kobiety jest na ogół jednak dziś, jak dawniej, mąż i życie małżeńskie. Nie tylko to. Kobieta chce, niezależnie od utrzymania, mieć swojego mężczyznę, który by jej potrzebował, dla którego mogłaby się poświęcać i służyć mu, jeżeli zechce. Kobieta bez swojego mężczyzny czuje się kaleką, jak kawalerzysta bez konia.

Ukwiały żyją w morzach zawsze uczipione o jakąś podstawę: siedzą na skałach podwodnych, a najlepiej wychodzą, gdy się im uda osiąść na skorupach wędrownych raków pustelników. Dojrzałe formy ukwiałów są osiadłe, a larwy ich pływają wolno i szukają sobie podstawy. Osiadłszy raz, nie mogą zmieniać miejsca samodzielnie.

Podobnie i młode dziewczęta tańczą, uczą się muzyki, śpiewu, chodzą na wykłady, odczyty, koncerty, wieczorki, szukając instynktownie każda swojego mężczyzny. Do tego celu przyroda obdarza je wdziękami na czas krótki. Nie jest to poszukiwanie chleba i żywiciela dożgonnego — choć bywa i to. Dziewczyna instynktownie szuka mężczyzny, któremu byłaby potrzebna i miałaby go stale dla siebie na to, żeby jej pragnął i potrzebował. Dopiero wtedy kobieta czuje się kimś i wie, czym jest. To jest jej główny zawód; może mieć przy tym zajęcia uboczne.

Młody człowiek, zwabiony urokiem, pragnie dziewczyny i szuka jej bliskości. Zanim się oboje zastanowią, czy powinni by się wiązać dożgonnie, już ich

otoczenie wiąże jako przyszłą parę. Odejście staje się coraz trudniejsze.

Wyglądzony seksualnie młodzieniec trzyma się dziewczyny jak rak przynęty i można go z wody wyciągnąć na powietrze. Gdyby puścił, wpadnie do saka odpowiedzialności za opinię panny, której życie związał. Wtedy jest gotów i oświadcza przed ołtarzem, że ma wolną i nieprzymuszoną wolę wstąpić w dozgonny związek małżeński z osobą, która go wybrała.

Równie często u dziewcząt rodzice wpływają na ich „wolny” wybór, przedkładając im natarczywie, że nie ma co dłużej czekać i przebierać, że iść za mąż trzeba, bo czasy są zbyt ciężkie i rodzicom trzeba ulżyć za każdą cenę.

Najrozmaitsze motywy zmuszają ludzi do uroczystego wyznania przy świadkach, że mają wolną i nieprzymuszoną wolę, żeby się pobrać i żyć w małżeństwie do śmierci.

MAŁŻEŃSTWA SZCZĘŚLIWE I CHYBIONE

Odtąd się dla obojga zaczyna obowiązek cieszenia się sobą nawzajem po wszystkie dni i noce, pod kontrolą rodziców i rodziny. W szczęśliwych małżeństwach to jest obowiązek łatwy i bardzo miły.

Gorzej, jeżeli się dopiero po ślubie pokaże, że wybrany przebył syfilis, ma gruźlicę, przepukliny, cierpi na alkoholizm, neurastenię, urojenia, albo że wybrana kłamie nałogowo, jest brudna, rozrzutna i niedorozwinięta bardziej, niż się wydawała jako narzeczona. Nawet między zdrowymi ludźmi poży-

cie wspólne może się okazać męką dla obojga, mimo najlepszej woli z obu stron. Wyjścia już nie ma. Tylko śmierć, grzech lub upokarzający proces unieważniania związku.

OBOWIĄZKI W DZIEDZINIE ŻYCIA PŁCIOWEGO

Wobec tego, że instynkt rozrodczy daje się pogodzić z dobrem jednostki ludzkiej tylko w ramach szczęśliwego małżeństwa, a poza tym grozi nieszczęściami wszelkiego rodzaju i dla jednostki samej i dla drugich, zdają się z tego wynikać obowiązki ciężące już na rodzicach i na ludziach młodych od lat młodzieńczych do późnej starości.

a. *Wobec małych dzieci i подроstków.* A więc: już niemowlęta przyzwyczajając trzeba do tego, żeby śpiąc trzymały ręce na kołdrze. Dzieci wcześniej uświadamiać objaśniając im życie roślin i zwierząt. Nie odmawiać im odpowiedzi w sprawach związanych z życiem dwóch płci i nie wyrabiać w nich skrytości na tym punkcie. Niech się nie boją pytać i zwierzać się przed rodzicami. Niech się nie czują samotne i opuszczone w okresie dojrzewania.

Wychowanie dwóch płci razem i szkoła koedukacyjna mogą stępić nadmierną wrażliwość na drugą płć. Niech się chłopiec wcześniej do tego przyzwyczai, że dziewczyna jest człowiekiem tak samo, jak i on, że ma swoje zadania i roboty, zalety i wady, trudności i kłopoty takie same jak chłopcy, a nie jest tylko przedmiotem pożądania i wyzysku, pastwą i ofiarą popędów męczyzny. Niech dzieci umiej współpracować z sobą, a nie tylko bawić się

wspólnie i mizdrzyć się do siebie nawzajem. I niech się wcześniej uczą tańców, aby to nie był upragniony a niedostępny owoc zakazany.

Chłopak niech się raczej wystrzega przyjaźni z dziewczyną, aby jej nie musiał zapłacić całym życiem. I nie wiązać dzieci w przyszłe pary nawet na żart. Tak, jak się nikomu nie powinno wyznaczać zawodu w dziesiątym roku życia.

Niech się chłopak zajmuje pracą i sportem, muzyką i malarstwem, aby nie miał czasu na próżniactwo i marzenia seksualne. Niech unika lektury erotycznej, aby nie popadł w opętanie tym tematem. Nie trzeba mu zabraniać tej lektury kategorycznie i pod grzechem, nie trzeba mu dawać do ręki wydań kastrowanych, ale go uprzedzić, niech wie, jak fałszuje postać kobiety rzeźba idealizująca jej formy od starożytności i jak naiwnie idealizuje mężczyzna zakochany obraz charakteru kobiety, której urok pozbawił go krytycyzmu.

Młodzież niech gardzi nadużyciem alkoholu. Nie musi go unikać całkowicie. Kieliszek dobrego wina w imieniny nie jest zbrodnią i dla młodego człowieka. Wypity jawnie w dobrym towarzystwie. W pokoju dobrze wychowanego chłopca można zostawić butelkę wina i on jej nie ruszy po cichu. Podobnie i zatańczyć potrafi w karnawale, i nie unika dziewcząt zasadniczo, ale nie ruszy dziewczyny, którą mu powierzono, choćby się oboje znaleźli w gęstym lesie o zmroku.

Ta postawa wymaga od chłopca dużej odwagi cywilnej i hartu, aby nie uległ prowokacjom dziewcząt i nic sobie nie robił z tego, że go będą trak-

towały jak dziecko albo jak niedołągę. Potrafi być wyższy ponad to, jeżeli będzie wiedział, do jak niebezpiecznej gry próbują go wciągnąć. Niech wie, że i w nim samym, i w dziewczętach gra nierozumny a groźny żywioł. Że grozi pułapka nieszczęśliwego stosunku i z nim ciężkiej zależności oraz pułapka nieszczęśliwego małżeństwa. Groźna dla obojga.

TAK ZWANE GRZECHY MŁODOŚCI

Jeżeliby męka tych lat była za ciężka i wydawałaby się nie do zniesienia, powinien się młody człowiek zwrócić do lekarza. Sposobność będzie, kiedy mu twarz obsypią krosty, a nocne wytryski nasienia zmęczą go i zgnębią. Będzie rzeczą lekarza wybrać mu jako ratunek odpowiednie dawki bromu i „grzechy” najmniej niebezpieczne dla zdrowia fizycznego. Będzie rzeczą jego własną unikać wszelkich podnieceń z tego zakresu, a więc erotyków literackich, plastycznych, widowiskowych itd. Nie uniknie ich na mieście, gdyby sobie nawet włożył końskie okulary. Gdyby uciekł na pustynię egipską, znajdą go i tam pokusy świętego Antoniego.

Są tacy, którym się udaje uniknąć obcowania z kobietami aż do małżeństwa. Poprzestają na zmazaniach nocnych i pomagają sobie samogwałtem od czasu do czasu. Ta praktyka jest u młodzieży powszechna i nie grozi uwiędnięciem rdzenia, jak to nieraz głoszą broszurki popularne. Jeżeli jest nałogowa, objawia się bladocią cery, złym wyglądem, nieśmiałością wobec dziewcząt, poceniem się i drżeniem rąk; idzie często w parze z neurastenią i chorobami

psychicznymi i obniża zdolność do stosunków normalnych. Trzeba od niej dzieci chronić, ale ich nią nie straszyć i nie bajać o wyschnięciu szpiku. Znane są wypadki samobójstw na tle wyrzutów sumienia z tego powodu. Nie wyklamywać spraw erotyki z życia. To się nie może udać, a stwarza rozłam między młodzieżą a starszymi. Pozór grzechu zaostrza niebywale siłę ponęt erotycznych. Nic tak nie ciągnie jak owoc zakazany.

Młody człowiek żyjący wstrzemięźliwie niech się nie czuje ani upośledzony, ani święty, tylko niech sobie mówi: mógłbym gdybym chciał, ale nie jestem taki głupi i nie chcę teraz. Zostawiam sobie ten zakres życia na potem, kiedy sobie dla niego stworzę pole i ramy. Stosunki z prostytutkami niech zostawi niewybrednym i nieopanowanym.

W dziewiętnastym wieku młodzi dziedzice po dworach wiejskich nie mieli kłopotu z tą sferą życia. Chętnie się im oddawały dziewczęta wiejskie. Krowa stanowiła wynagrodzenie za ciążę i poród. Obie strony bywały zadowolone i dramaty w rodzaju „Halki” należały do wyjątków. Ale te rzeczy minęły. W Japonii istnieje prostytutka kontrolowana pod względem higienicznym naprawdę, a nie tylko formalnie i pozornie, ale to obraża moralistów europejskich podczas pokoju. Dopiero podczas pierwszej wojny światowej urządziły armie państw centralnych poważnie kontrolowane przez lekarzy domy publiczne, kiedy choroby weneryczne zaczęły osłabiać fronty wojenne. Po wojnie zaczęto znowu prostytutki traktować jak półprzestępczynię i oddano je znowu pod samowolę policji i wyzysk alfonsów.

Urządzano na nie polowania po nocach. Ofiarą padały nieraz najspokojniejsze kobiety.

Organizowano kobiety wszelkich możliwych zawodów w syndykaty, związki zawodowe i starano się dla wszystkich o ochronę pracy i zdrowia i ubezpieczenia na wypadek niezdolności do pracy, tylko o prostytutkach zapomniano obłudnie. Bo wiadomo było, że tę klasę wytwarza społeczeństwo od wieków, aby zaspokajała głód seksualny, gorszy nieraz i bardziej niebezpieczny od głodu pokarmu. Głód nie tylko tych mężczyzn, którzy jeszcze nie mogli się żenić, ale i tych, którzy się nie powinni byli żenić, bo się nie nadawali na mężów i ojców. A więc ludzie chorowici, niezrównoważeni duchowo, pracujący nocami, podróżujący wciąż zawodowo i tak pochłonięci pracą zawodową, że stać ich było tylko na dorywcze stosunki z kobietami, a nie na trwałe, pełne, odpowiedzialne pożycie rodzinne.

Spółeczeństwo wytwarza i ochrania restauracje, cukiernie, hotele, łazienki publiczne i zakłady fryzjerskie, które za marną opłatą oddają ludziom usługi zastępujące świadczenia domu rodzinnego. I podawać ciastka każdemu, kto zapłaci, nie jest hańbą, i masować byle kogo za pieniądze uchodzi za uczciwą pracę, i pobudzać byle kogo ze sceny lub z estrady uchodzi, i wynajmować własne gardło w zawodzie śpiewaczym nie ubliża nikomu, tylko gasić głód seksualny za pieniądze jest hańbą w poczuciu wieku dwudziestego i poprzednich. Robić to po cichu jest ułomnością natury ludzkiej — zajmować się tym otwarcie jest półzbrodnią.

Powie ktoś: „Chodzi o ochronę małżeństwa. Gdy-

by prostytutkę ulegalizować, ochronić i otoczyć opieką sanitarną, nie opłaciłoby się mężczyznom brać żony.”

I to jest fałsz wierutny. Przecież tramwaje nie zabiły aut prywatnych. Kto tylko może, kupuje auto, mimo że tramwaj zawiezie go równie daleko za bezcen. I restauracje nie zabiły wiktów domowego, a nawet szkoły publiczne — nauki prywatnej. Więc ta obawa jest śmieszna i udana.

Chodzi o coś innego. O to, że nie wypada legalizować i ochraniać grzechu. Myśl o higienizowanej i legalizowanej prostytucji budzi taką samą zgrozę i zgorzelenie, jak myśl o prezerwatywach zapobiegających ciąży i środkach leczniczych przeciwko syfilisowi albo o paleniu zwłok. Szkoda mówić o tym. Bo powiedzieć głośno, że prostytutka zdrowa i nie kradnąca, i nie upijająca się może w wielu wypadkach uchronić niejednego chłopca od zarażenia się gdzieś w kącie, od przedwczesnego ojcostwa, a tak samo dziewczynę od niewczesnej ciąży i nieszczęśliwej miłości, ich oboje od wykolejenia się i szantażów — powiedzieć to głośno, to ściągnąć na siebie pioruny świętego oburzenia ze strony tych, którzy wiedzą, że tak jest, ale nie chcą, żeby to wiedzieli wszyscy. Ludzie powinni zachować poczucie grzeszności życia seksualnego poza małżeństwem; inaczej mogliby się obejść bez rozgrzeszenia i bez szafarzy rozgrzeszeń.

Pośród dzisiejszych prostytutek jest mnóstwo typów chorych psychicznie i kryminalnych, bo wszystkie żyją w hańbie, są wyjęte spod prawa i skazane na śmierć w nędzy, w szpitalu albo pod kościołem.

Nie może być inaczej, jak długo społecznicy i rządy zamykają oczy na ich rolę społeczną i zostawiają je pośród mętów społecznych jako tolerowane zbrodniarki. Jeżeli się ich zawód uważa za zbrodnie, należy je zamykać w więzieniach i nie tolerować ich w ogóle, co się nie udało nigdy i nigdzie. Jeżeli się je toleruje, to trzeba się otwarcie przyznać, że się je uważa za potrzebne i dopuszczalne, a wtedy traktować je jak każdy inny zawód. Na to trzeba by dożyć, że to są też czyjeś córki i siostry, a nie „jawnogrzesznicze.”

Gdyby kto pytał, dlaczego nie miałyby być czymś dopuszczalnym także prostytutki męska, odpowiedzieć łatwo, że byłaby skazana na bezrobocie, bo tylko wyjątkowe kobiety potrzebują stosunków dorywczych. Kobiety potrzebują trwałych dostawców uczucia i nasienia i opieki. Potrzebują miłości, a tej nie można ani kupować, ani sprzedawać, więc sprawa jest bezprzedmiotowa.

STOSUNKI NIELEGALNE

Młodym mężczyznom cierpiącym na nadmiar temperamentu czasem los nastęrcza ulgę w postaci starszych, a nieraz i młodych wdów, rozwódek, nieszczęśliwych mężatek, i z tego się tworzą związki przelotne — nieraz na pociechę obu stron, a bez niczyjego cierpienia. Ale trudno o to. Bo plotki i obmowy ludzkie zatruwają takie pożycie i stosunek staje się łatwo nierzetelny i jednostronny, bo kobieta łatwo się przywiązuje na stałe i całą duszą i jest narażona na konkurencję ze strony kobiet młodszych.

Mężczyzna z czasem pragnie się ożenić z kimś odpowiedniejszego wieku i tragedia gotowa. Najboleśnieszka dla kobiet u progu starości.

Nie trzeba dodawać, że wszelkie trójkąty i wieloboki małżeńskie i pozamałżeńskie grożą nieszczęściem dla wszystkich uczestników. To są nieuniknione źródła zazdrości, opartej na faktach albo tylko na urojeniach, podejrzaniach i pretensjach. Gotuje sobie i drugim mękę nieopisaną każdy, kto jest tak nieostrożny i pozwala sobie na przywiązanie się do osoby już związanej, kto ośrodkiem swego życia robi osobę niewolną i chce sobie stworzyć coś w rodzaju gniazda dodatkowego na czyimś gnieździe spokojnym. Bardzo się muszą z tym liczyć mężczyźni i kobiety, stale bywający w jakimś domu w charakterze sekretarzy, pomocników, współpracowników, uczniów itd. Łatwo wtedy o pozory fałszywe i okazje do zadrażnień i o plotki — potrzeba bardzo wiele taktu, opanowania się i delikatności u wszystkich uczestników takiej grupy, żeby życie w tym układzie, często nieuniknionym, mogło być jakkolwiek znośne.

Mieszkanie pod jednym dachem stanowić może dla młodych ludzi wielką pokusę i sposobność do kontaktów, ale może też powodować oswojenie się i spowszednienie, i przez to stępienie podniety erotycznej. Dlatego nigdy nie mów: „On u nich mieszka przecież, więc tam musi coś być”. Gdyby i było naprawdę, nie mów tego sąsiadom i znajomym, a z tymi ludźmi współczuj, bo komuś z nich jest już ciężko, a może być źle wszystkim trojgu.

Nic gorszego, jak przywizać się do człowieka

niewolnego. I usta mieć związane, i ruchy, i uczucia na łańcuchu i pod pokrywą, i zależeć od humoru i kaprysu osoby trzeciej, i ciężarem być dla osoby najbliższej. Więc, ile potrafisz, unikaj takich stosunków dodatkowych.

DARY

Jest rzeczą naturalną i powszechnie znaną, że ktoś, kto kocha, pragnie obdarzyć drugiego i oddawać mu przysługi. Czasem z myślą o pożytku dla osoby ukochanej, a czasem z myślą o sobie samym. To znaczy, że raz chodzi o zaspokojenie braków, potrzeb, pragnień osoby kochanej i o nic więcej — do tego zmierzają dary i przysługi bezinteresowne. Innym razem chodzi o to, żeby ją sobie pozyskać, zobowiązać, uzależnić od siebie, stać się samemu jej potrzebnym, mieć jej wdzięczność, pamięć, stać się niezbędnym, i tak, drogą pośrednią, uzyskać lub utrzymać sobie jej wzajemność. W pierwszym razie dar lub przysługa może pochodzić także od osoby trzeciej i to nie budzi niechęci, nie drażni i nie gniewa. W drugim wypadku dary i przysługi osób trzecich budzą gniew na tle zazdrości i obawy o własną pozycję. Tak najczęściej działają dary i przysługi osób trzecich na osoby, które się nazywają „zakochane”. Pospolity zakochany pragnie sam jeden tylko być źródłem wszelkiego dobra dla osoby ukochanej, bo ją obdarza i służy jej dla siebie samego — czyby to było z jej pożytkiem, czy ze szkodą. Pospolita odmiana miłości jest egoistyczna i łatwo staje się brutalna i zawistna. Zakochany mó-

wi swoim postępowaniem: „Potrzebuj mnie i tylko mnie wciąż i zawsze, albo giń marnie i życie miej zatrute! A czemu? Bo ja nie mogę żyć bez ciebie, więc byłaby mi krzywda, gdybyś ty mógł żyć beze mnie”. Mówi tak, jak wilk do barana, jak robak do ścierwa, jak pijak do butelki — przyznawał się do tego otwarcie Baudelaire rymami — i stara się otoczyć osobę kochaną zawistnymi rękami i odosobnić ją od innych dla siebie samego. Pospolity zakochany to ciężki wróg przebrany za przyjaciela. Nie, żeby był taki przewrotny, fałszywy i chytry. To nie wypływa z wyrachowania świadomego, tylko natura to z nim robi. On się sam męczy, bo go żądza trawi i spokoju mu nie daje poza bliskością osoby wybranej. Boi się zostać sam, żyje tylko tym, że się czuje potrzebny i jedyne, i niezastąpiony. Więc walczy o swój jedyne żer, którym jest osoba wybrana. Nie chodzi mu o jej swobodę ruchów i działań — wprost przeciwnie: chodzi o izolowanie jej, skrępowanie i uzależnienie od siebie jak największe, bez względu na to, jak się z tym będzie czuła i jak na tym wyjdzie osoba wybrana. Pożyczył jej ktoś dobrą powieść, ktoś inny przysłał kwiaty, zaproszono ją na zabawę, była z kimś na wystawie, podobał się jej ktoś inny z wyglądu, wszystko to może być ciężką raną dla zakochanego pospolicie. Od niego można oczekiwać darów nad stan i przysług nad siły, nawet żenujących, kłopotliwych, za wielkich — aby ich tylko nie mieć od nikogo innego.

Dlatego nie objawiaj swego zakochania osobie, która cię do tego nie upoważniła swoim postępowaniem, bo to jest zamach na jej swobodę osobistą.

Nawet arogancja, bo każdy ma prawo żyć jak mu się podoba, pokąd sam z tego prawa nie zrezygnował.

Nawet kiedy cię upoważniono do darów i przyśług, powstrzymuj się od zbyt kosztownych. Nikomu nie powinno być miłe to, żebyś się rujnował na kwiaty. Ani żebyś swój płaszcz rozścielał na błocie, byleby sobie czyjś osioł kopyt nie powalał.

Niech twoje starania nie wyglądają na to, że chcesz sobie *kupić miłość*. To byłyby starania obrażające. Miłości kupić nie można nigdy, ale samą osobę, która się nie szanuje, i prawo do jej poufałości można sobie kupić nieraz, jeżeli komuś to wystarczy.

Udawać miłość a przyjmować świadczenia materialne — to zawsze gorzki los. Czasem to robią ludzie nawet i dobrzy przez litość wobec osób chorych i jakoś upośledzonych, czasem przez poczucie odpowiedzialności, czasem z uporu i na złość komuś. Zawsze to wygląda na krzywdę wyrządzoną samemu sobie, na oszukiwanie siebie samego — nie tylko: drugiej strony.

Najgorzej, jeżeli się to robi dla pieniędzy, dla strojów, prezentów, stanowiska, protekcji itd. prostytutka sprzedaje tylko swoje ciało i pieśczoły — nie oszukuje. Człowiek, który gra rolę zakochanego, oszukuje swą ofiarę, a może oszukać i siebie samego i sponiewierać. Więc nie próbuj nigdy świadczeniami materialnymi rozniecać ani podtrzymywać miłości, abyś nie wywołał jej pozorów pustych i nieszczerých. Niech twoje świadczenia będą bezinteresowne naprawdę. Nie dlatego, żebyś był kochany,

tylko dlatego, żeby lżej i milej było osobie kochanej. I nie czuj się pokrzywdzony, jeżeli w zamian za swoje służby nic nie dostajesz — przyjęcie twoich usług już jest dla ciebie nagrodą.

Z drugiej strony nie odmawiaj przyjmowania miernych darów i przysług od człowieka, który ci jest miły, a świadczy ci je bezinteresownie.

STOSUNKI NIEWZAJEMNE

Kochanie daje pełną radość tylko wtedy, gdy się wydaje wzajemne i równe. Na ogół biorąc. Bo zdarzają się ludzie tak bezinteresowni albo tak arogancy, że cierpliwie lub natrętnie umieją się kochać i bez wzajemności. To zawsze jest ciężki los.

Siły uczuć u dwóch lub dwojga ludzi nie można porównywać i mierzyć z pomocą żadnej miarki — mimo to wielu osobom narzuca się nieraz nieodparte przekonanie, że nie są tak kochane, jak dawniej, albo nie tak potrzebne drugiej osobie, jak jej potrzebują same, i nie tak potrzebne, jakby być pragnęły. Musi takie przekonanie wywoływać niezaspokojona lub niedostatecznie zaspokajana żądza. To przekonanie jest nad wyraz bolesne i wiąże się z ostrym poczuciem poniżenia, choćby było mylne i urojone. Pospolicie objawia się skargami, wyrzutami, atakami i nastawianiem coraz gwałtowniejszym, aby zbyt oschły partner nie miał innego wyjścia i ratunku, jak tylko serdeczność. Ta, jeśli wygląda na przelotną i jeśli widać po niej, że została wymuszona, zaczyna drażnić tym bardziej i pobudza do coraz ostrzejszych ataków i coraz głębszego poczucia

krzywdy. Nie mogą pomóc żadne zapewnienia, bo te są łatwe i podejrzone. Jeżeli nie są możliwe realne świadczenia seksualne, wyjścia nie ma i jakaś katastrofa wisi w powietrzu. Życie staje się przewlekłą torturą dla obu stron. W miejsce śmiechu i pogody zjawia się wilgotna atmosfera nieustannych łez i złości, jedna strona truje się zazdrością, druga dławii się przymusem i rozpacziwą obroną, wierność staje się prześladowaniem, życie męką, śmierć wydaje się jedynym wyzwoleniem.

Zdaje się, że można by takiego piekła na ziemi uniknąć, a przynajmniej złagodzić je znacznie, gdyby ludzie pamiętali, że miłość nigdy nie może być obowiązkiem i w ogóle nie kwitnie pod ciśnieniem przymusu zewnętrznego, że nikt nie może mieć do niej prawa, nie może o nią prosić, ani jej wymagać, ani reklamować. Że ona od wyrzutów, od złości i łez marnieje, że jej nie wolno ciągnąć za uszy, że to nie jest coś, co można posiadać w kimś drugim, upilnować to sobie i mieć na potem — zakonserwowane, nienaruszone i świeże jak konserwa z puszki. A ona jest raczej jak tęczą — zjawia się w życiu, ale nie wiadomo, jak długo potrwa i nie można jej spuszczać do butelek na zapas. Nikomu się od życia nie należy. Jeśli przyszła — to jest wielkim darem przyrody — cieszyć się nią po cichu i nie płoszyć, i Bogu dziękować, jeżeli jeszcze jest, i nie mówić o niej za wiele. Ona jest jak dostojny skrzydlaty gość, który czasem z nieba na ziemię zstępuje i gotów przebywać u ludzi długo, jeżeli mu cicho cześć oddają i nie biorą imienia jego nadaremno. Nie wolno go zamykać w sypialni ani go brać na łańcuch i robić z niego

parobka na codzień, aby swoją służbę odbywał regularnie, nie sypiał za długo i nie próbował ucieczki. Obrazić się gotów i zniknąć, i źle będzie wyglądał.

Nikomu nie można brać za złe, że kocha mniej lub za mało, ani mu o to robić wyrzutów, bo każdy na pewno kocha tyle, ile potrafi, na ile go w danym wypadku stać, a jeśli się będzie starał więcej, stworzy w sobie tylko uczucie nieszczerze.

Pomyśl, że w najlepszym nawet stosunku uczucia dwóch osób nie mogą być do siebie tak podobne, jak dwie krople wody, i nie byłoby nikomu miło wciąż w drugim człowieku własne odbicie oglądać. I nie mogą uczucia dwóch osób przebiegać w czasie tak równoległe jedno do drugich, żeby stopień ich żywości był stale jednaki. Miłość szlachetna nie mówi: „Wezmę z drugiego wszystko, co się tylko da, aby mu nic nie zostało dla kogoś innego”, to byłoby podobne do gospodarki rabunkowej. Kto kocha przyzwoicie, cieszy się tym, co dla niego w drugim samo zakwitnie, i tylko to do niego należy. Pamięta, że drugi ani mu porcji miłości na żądanie zwiększać nie może, ani ich zmniejszać nie potrafi umyślnie, bo miłość to nie jest kapitał ruchomy w kasie, tylko proces duchowy i cielesny, który przebiega według swoich praw, a nie zależy od woli człowieka, jeżeli ma być szczerzy.

Więc jeśli ktoś czuje, że nie ma dość żywego echa u osoby ukochanej, może się ratować wycofując się ze stosunku, może się zacząć interesować kimś innym, kto mu odpowiada żywiej i silniej — nie powinien tylko żywić żalu i gniewu do osoby, u której dość żywego echa dla siebie nie znalazł.

Nie trzeba wtedy urządzać hucznych uroczystych zerwań i zwrotu upominków, ani przechodzić na pan i pani, ani odmawiać komuś pozdrowień na ulicy. Ludzie, którym kiedyś było ze sobą dobrze, powinni siebie zawsze zachowywać we wdzięcznej pamięci. Więc wystarczy powiedzieć, że się odchodzi. Tylko nie nawiązywać stosunku pomocniczego ani zastępczego, zanim się poprzedniego nie rozwiąże. Nie należy nikogo utrzymywać w złudzeniu, że jest jedyny i niezastąpiony, bo może by inaczej dysponował swoją osobą, gdyby wiedział, że tak nie jest. Samemu też można popaść w kolizje nie do wytrzymania, jeżeli się ktoś zechce dzielić swoim czasem i zainteresowaniem więcej niż z jedną osobą. Zazdrość czepia się nie tylko faktów, ale i pozorów. I gotowa szarpać kogoś nie za to, że się sam do kogoś innego zwrócił, ale i za to nawet, że się nim ktoś trzeci zajął. Bo widocznie nie napotkał dość silnego oporu, a może nawet był prowokowany? Wtedy żadna obrona nie pomoże.

Jeżeli się nie czujesz wolny i nie chcesz, albo choćbyś i chciał, nie możesz oddać się całkowicie stosunkowi z jedną osobą, powiedz jej to otwarcie, zanim się zbliżycie, i broń od zbliżenia i jej, i siebie — inaczej mogłaby mieć słuszny żal do ciebie, żeś ją wprowadził w błąd i udawał wolnego i gotowego do życia tylko z nią. Wtedy będziesz miał czyste sumienie, a zazdrości nie unikniesz i tak.

Najgorzej robią te kobiety, które w przystępie nieopanowanej zazdrości szukają zemsty, a właściwie ulgi, w ramionach typów osobiście im obojętnych, udając dla nich miłość, albo i nie — aby tylko

zrobić na złość partnerowi i sobie. Oszukują drugich i siebie same i plamią. Lepiej potem już nie wracać, jeżeliby kto chciał szukać znowu tego, co było.

ROLA EROTYKI W ŻYCIU

Romantycy zostawili w poematach i powieściach liczne okazy erotyki chorobliwej. Znamy wszyscy nieszczęśliwego kochanka, który po domach chodzi z małą sosną i próbuje samobójstwa dlatego, że panna wyszła za męża za kogoś, kto jej mógł dać lepsze utrzymanie i stanowisko, niż on sam. Od czasów Wetera było w modzie kochać „całą duszą”, ginąć z miłości i w razie czego myśleć o samobójstwie. To „całą duszą” nie musiało być pustym frazesem. Znaczyło to, że miłość do kobiety przemagała wszystkie inne dyspozycje młodego człowieka, że gotów był poświęcić dla niej wszystkie inne wartości, a bez niej żyć nie mógł. Przynajmniej pokąd jej nie dostał. Miłość stawała się głównym zajęciem zakochanego i osią jego życia. Jak w starym romansie. Około roku 1900 znowu Przybyszewski przedstawiał miłość jako potęgę niszczącą, złą, jako walkę dwóch płci na śmierć i życie. Jeszcze Sofokles w *Antygonie* opiewał Erosa w znanym chórze jako potęgę straszliwą, drapieżną, która nawet uczciwych ludzi prowadzi do zbrodni i hańby. Afrodyta stroi sobie żarty z ludźmi, których jej syn napada i zabija.

Tak ponuro przedstawia się miłość u dusz chorych. Nie może uchodzić za zdrowego człowiek, który nie potrafi rozumnie kierować swoim postępowaniem i którego przemożna dyspozycja uczuciowa po-

woduje ciężkie cierpienia dla niego samego i dla drugich i obniża lub znosi zupełnie jego sprawność życiową. Na litość zasługuje człowiek, który, naprawdę nie widzi świata poza osobą ukochaną, nie ma żadnych zamiłowań i żadnych wartości wyższych i nie uznaje żadnych obowiązków, i nie zna żadnych skrupułów na drodze do osoby kochanej. Miłość bez granic i bez hamulców obniża człowieka moralnie. I nie godzi się nią obdarzać nikogo, kto o nią sam nie prosił. Nawet i prosić o taką nie wypada, bo jakże prosić kogoś, żeby stracił głowę, zgłupiał, stał się kaleką duchowym? Nie wypada.

Wolno człowiekowi dzielnemu oddawać się całą duszą jakiejś rozumnej pracy, jakiejś dobrej sprawie, ale nie miłości. To jest jedna spośród wielu wartości życiowych, ale nie powinna się stawać jedyną, jeżeli człowiek ma być coś wart.

Powiedział ktoś, że miłość jest dwa razy bardziej niebezpieczna dla życia niż nienawiść, bo od nienawiści giną zwykle tylko osoby znienawidzone, a z miłości giną i osoby kochane, i ci, co kochają.

Zdaje się, że ten paradoks polega na zbyt szerokim rozumieniu wyrazu „miłość”. Nie godzi się tego słowa poniewierać i nazywać miłością każdej upartej żądzy seksualnej, choćby była egoistyczna i brutalna. Domy publiczne nie są przecież przybytkami miłości, chociaż są ogniskami życia seksualnego. Ewa Pobratymska nie kochała Łukasza Niepołomskiego, bo nie byłaby poszła z Pochroniem, i nie kochała Pochronia, chociaż z nim żyła długo i bez zastrzeżeń w poniżającej niewoli seksualnej. I Fryderyk, bohater Flaubertowskiej *Szkoły uczuć* nie

kochał żadnej z wielu dam, z którymi żył kolejno i na raz i którym co jakiś czas swoją gorącą miłość oświadczał. Okłamywał każdą i usiłował je brać podstępem, jak lis kurczęta albo wilk owce. Postawa najdalsza od przyjaźni, która zawsze musi tkwić w miłości, godnej tego imienia.

Już Platon w *Fajdrosie* i w *Uczcie* odróżniał dwie Afrodyty: pospolitą i niebiańską, i jedną hańbił, a drugą wielbił. Wypada i dziś nazywać miłością tylko skłonność seksualną szlachetną, która swój przedmiot szanuje, dba o niego rozumnie, rozumu słucha.

Ludzie, którzy umieją rozróżniać tylko stosunki osobiste legalne i nielegalne, popełniają często grubych błędów: zdaje się im, że każdy stosunek legalny jest dobry, a każdy nielegalny zły, i że wystarcza żyć w legalnym stosunku, żeby mieć czyste sumienie, a jeżeli kto wpadł w stosunek nielegalny, to tym samym już nie może w nim być lepszy lub gorszy. To wielki błąd. Można się w legalnym stosunku na stanowisku i w roli męża lub żony okazać brudnym i złym bydlęciem, a w stosunku nielegalnym zostać przyzwoitym człowiekiem. O wartości etycznej człowieka w stosunku osobistym i o wartości samego stosunku nie rozstrzyga metryka ślubu albo brak metryki ślubu. Pod osłoną metryki ślubu może się kryć wyzysk, gwałt, brutalność, pasożytnictwo, oszustwo, nieposzanowanie człowieka, marnowanie jego sił, czasu, zdrowia, narażanie jego dobrej sławy, zatrucie życia w dzień i w nocy, ustawiczna wojna i prześladowanie, przymus i szantaż, bez możliwości obrony a przewlekły. Złe małżeństwo bywa gorsze niż choroba nieuleczalna i niż śmierć w mękach.

Z drugiej strony, w stosunku nielegalnym ktoś może się okazać człowiekiem przyzwoitym, albo łotrem i obrzydliwcem. Uczciwość i legalność stosunku nie są jednym i tym samym.

O tym trzeba pamiętać i dla siebie samego, i kiedy się drugich ocenia. Nie godzi się bojkotować kobiety za to tylko, że z kimś żyła bez ślubu. Chodzi o to, jak z nim żyła. Nie o pieczęć kościelną lub państwową na akcie ślubu, tylko o wartość moralną człowieka. To są różne rzeczy.

Uwagi z tego rozdziału muszą być ogólnikowe i powierzchowne, zbyt rozległa jest ta dziedzina i zbyt doniosła. Wyczerpujące jej opracowanie wymagałoby tomów.

X. POSZANOWANIE CUDZEJ WŁASNOŚCI

Ten obowiązek poznają już małe dzieci w tekście siódmego przykazania. On dotyczy wszystkich bez względu na wiek, stan majątkowy i panujący ustrój.

W każdym ustroju każda jednostka spotyka rzeczy, które nie są jej własnością, tylko są własnością publiczną lub prywatną cudzą, i tych rzeczy naruszać nie wolno, nie wolno nimi dysponować do woli.

Nie ma powodu szeroko uzasadniać obowiązku poszanowania np. grosza publicznego, bo to każdy rozumie, że bez tego nie może istnieć żaden ustrój. I nikt o tym nie wątpi. Nie wszyscy pamiętają o tym, że np. aparat telefoniczny i materiały piśmienne biura są dla celów prywatnych nietykalne. Poszanowanie kwiatów na trawnikach publicznych jest różne w różnych miastach. W niektórych kwiaty stoją nieogrodzone, dostępne, a nikt ich nie zrywa mimo to; w innych żelazne płoty, siatki i bogato cyzelowane ogrodzenia bronią krzewów nawet przy pomnikach i mówią każdemu, jak bardzo zarząd miasta nie ufa własnym obywatelom.

Podczas wojny osobiwie się szerzy nieposzanowanie własności prywatnej. A więc okradanie elektryczni z prądu, niepłacenie za bilety w tramwaju, niszczenie wozów kolejowych, wycinanie drzew, pa-

lenie poręczy i ławek w ogrodach i na placach publicznych.

W czasach pokojowych dobra publiczne są tak chronione przy pomocy zbrojnych straży i rygorów prawnych, że tylko nieliczne jednostki mogą je sobie przywłaszczać i nadużywać ich do woli.

Dobro osób i instytucji prywatnych jest bardziej narażone. Już nie mówimy o kradzieżach ordynarnych i włamaniach, bo co do nich nie ma dwóch zdań. Wszyscy uznają też, że pieniądze pożyczone albo powierzone trzeba oddawać punktualnie i bez uszczerbku, choćby się tymczasem było samemu okradzionym albo poniosło nieprzewidziane straty.

Jeżeli u ciebie leżą pieniądze cudze — prywatne albo publiczne — nie wolno ci ani grosza z nich użyć chwilowo dla siebie, ani nawet dla chorego ojca, z tą myślą, że jutro je zwrócisz, a tymczasem leżą daremnie. Już niejedyn defraudant tak myślał. Miał na pewno dostać większą sumę i zrobiono mu zawód. Naruszył cudze i nie ma dla niego wymówki godziwej.

Nie godzi się też nigdy mówić: „Teraz pieniądź spada, więc teraz najlepiej spłacać długi”.

Nie godzi się nawet sypiać na łóżku sublokatora podczas jego chwilowej nieobecności. Ani używać tymczasem jego mydła, ręczników albo wody kolońskiej. Cudza szuflada, szafa, kieszeń, torebka są dla przyzwoitego człowieka niedostępne pod żadnym pozorem — nawet dla żartu — choćby były nie zamknięte i choćby należały do rodzzonego brata, ojca, męża, do siostry albo dorosłego syna. Nawet podrastające dzieci własne powinni rodzice własnym

postępowaniem przyzwyczajając do tej dyskrecji i nie grzebać w ich rzeczach bez ich życzliwego pozwolenia i wiedzy.

Pożyczoną książkę opraw w kawałek papieru, nie odwracaj jej okładką do środka a drukiem na zewnątrz, nie kładź jej otwartym drukiem na stół, nie używaj jej jako pokrywki do naczyń ani jako podkładki pod herbatę i chleb z masłem. Nie rób na niej dopisków, podkreśleń i uwag i nie zostawiaj na niej plam.

Jeżeli pożyczasz komuś książkę po raz pierwszy, zrezygnuj z niej w duchu. Najlepiej kup sobie od razu jej drugi egzemplarz. Jeżeli ci pożyczony oddadzą, będziesz go miał dla następnego przyjaciela. Jeżeli ci na książce zależy naprawdę, nie pożyczaj jej nikomu. Już sobie niejeden złożył sporą biblioteczkę z książek nieoddawanych, a w każdej bibliotece znajdziesz wydania zdekompletowane i luźne tomy wydawnictw, i egzemplarze uszkodzone i wyplamione, gdzie tylko ktoś pożycza książki ludziom zasługującym dotąd na zaufanie. Bo notorycznym złodziejom nikt świadomie książek nie pożycza.

To tak samo jak z weksłami. Jeżeliś komuś weksel podpisał i on go spłaca, miej go za dobroczyńcę. A jeśliś komuś pożyczył gotówkę, wykreśl ją sobie z budżetu i z pamięci. Będziesz miał miłą niespodziankę, jeżeli ci ją dłużnik kiedyś odda. Sam oddawaj skrupulatnie, a pożyczek wszelkiego rodzaju unikaj jak ognia.

Tak samo nie chwytaj ludzi za łokcie, kiedy się chcesz prędko dostać do tramwaju. I nie przysiadaj się bez zaproszenia do czyjegoś wózka, jeżeli ci się

śpieszy. Ale jeśli sam masz wolne miejsce w wózku, ofiaruj je rad znajomemu, który wędruje piechotą w tę samą stronę.

Nie przyjmuj niczyich dywanów do przechowania, jeżeli nie możesz lub nie chcesz trzepać ich regularnie i zasypywać naftaliną. I nie powierzaj swoich, jeżeli nie chcesz kogoś bardzo obarczać obowiązkiem konserwacji.

Listu cudzego człowiek uczciwy nie otwiera nigdy bez pozwolenia adresata i nie czyta go cichcem, choćby leżał otwarty na biurku. Nie zagląda piszącemu przez ramię i nie zostawiaj listu odebranego na miejscu dostępnym dla lektury osób postronnych, którym by go autor nie chciał dać do czytania. Listy cudze najlepiej niszczyć zaraz po przeczytaniu. Nigdy nie można być pewnym losu listów własnych, choćby adresat zasługiwał na zaufanie. Nie wiadomo, kto może je skraść, przejrzeć, źle zrozumieć, rozgłosić, zrobić z nich niegodziwy użytek. Za życia albo po śmierci autora.

Nie każdy wie, że niedyskrecja to także kradzież. Bo to jest przywłaszczanie sobie cudzej własności wbrew woli i bez wiedzy właściciela. Złodziejem jest każdy, kto podsłuchuje, zagląda przez dziurki od klucza, zagląda do szuflad nie zamkniętych na klucz i wtyka nos w cudze papiery zostawione bez dozoru.

A czy wolno sobie twarze i postacie ludzkie szkicować po cichu bez pozwolenia osób notowanych? Wolno na pewno, bo widok czyjejś powierzchowności jest własnością widza, który patrzy, a nie tej osoby, która tak lub inaczej wygląda. Widok na

miejscu publicznym. Każdy ma możliwość dbać o swoją powierzchowność na miejscu publicznym i powinien z góry być przygotowany na ludzkie oczy. Co innego, gdyby kogoś malarz podpatrywał w łazience albo w sypialni. Inna rzecz, że można się przez to narazić na grube nieprzyjemności, bo ktoś może nie chcieć, żeby go ktokolwiek rysował, albo żeby go rysował ten właśnie malarz, może sobie nawet niesłusznie rościć prawo do szkiców, których był modelem mimo woli i wiedzy.

Więc to jest praca godziwa, ale nad wyraz niebezpieczna. Robienie zdjęć portretowych bez wiedzy i zezwolenia osób pozujących może budzić obawę o zamierzony szantaż i prowadzić do scen gwałtownych. Gromadzenie dokumentów ludzkich tego rodzaju nie jest przedsięwzięciem bezpiecznym. Każdy powinien sam uważać na siebie, na swoje okna, drzwi i firanki i zachowywać się tak cicho, żeby się odgłosy jego życia nie dostawały do niepowołanych uszu, i nie mieć pretensji do tych, którym sam dostarcza spostrzeżeń nie szukanych, a choćby i poszukiwanych. W ciasnych a przepełnionych lokalach publicznych najdyskretniejszy gość musi być świadkiem wrzaskliwych rozmów prywatnych przy sąsiednich i przy oddalonych stołach. Nie wszyscy umieją tak miarkować siłę głosu, żeby ich słyszeć mogli tylko ci, do których się w rozmowie zwracają, i nikt więcej. Po tym się poznaje ludzi dobrze wychowanych.

Nie szanuje cudzej własności także i ten, kto ludziom narzuca niepożądane spostrzeżenia. Więc kino-teatr, który zmusza do oglądania obrzydłych reklam handlowych i poraża ludzkie oczy jaskrawymi

światłami w przedsionku. I ten, kto w domu prywatnym nie zapuszcza firanek wieczorem i zmusza mieszkających naprzeciw do oglądania jego życia prywatnego w negliżu. I ten, który przy otwartych oknach puszcza radio lub gramofon na grubej igle, kto po nocach urządza głośne chóry i krzykliwe zabawy w domu lub na ulicy.

Inna kradzież jest bardzo pospolita. Ludzie, którzy sami mają czasu aż za wiele, kradną czas pracującym bez żadnego skrupułu. Żeby pogadać, żeby odetchnąć, żeby posiedzieć trochę, żeby mieć do kogo mówić o sobie i swoich sprawach. Nawiedzić kogoś to uchodzi za objaw życzliwości i czci. Przyjąć kogoś to obowiązek i wypada dziękować za odwiedziny. Gospodarz jest bezbronny, gość bezpieczny i bezkarny. Dlatego nie przychodź niezaproszony i nie uprzedziwszy, że przyjdiesz. A przychodź punktualnie, bo nic gorszego, niż czekać na kogoś i nie móc się ani wziąć do jakiejś roboty, ani wyjść. Dłuższa pauza w rozmowie każe się pożegnać. Nie mów nigdy, że ci się tak przyjemnie z kimś milczy, i tym się nie rozgrzeszaj. Nie składaj ludziom wizyt w biurze ani przy okienku urzędowym, gdzie ktoś obok lub za drzwiami stoi w ogonku, bo okradasz wtedy i gospodarza i tych, którzy do niego mają sprawy urzędowe, i tę instytucję, w której gospodarz pracuje.

Gdy widzisz, że gospodarz pragnie wyjść, nie proponuj mu, że poczekaś na niego w jego pokoju i niech będzie spokojny. Gdy widzisz, że ktoś drugi pragnie cię przesiedzieć, sam się zegnaj. Jeśli gospo-

darz będzie mógł i zechce, sam cię zatrzyma. Ale zostaw mu tę swobodę.

Nie tłumacz się nigdy — nawet sam przed sobą — że czyjś dom i czyjaś obecność bliska jest dla ciebie potrzebą nieodpartą, jest chlebem i wodą, i powietrzem, więc nikt nie ma prawa odmawiać ci tego ani odcinać, a kto ci tego nie daje albo w tym przeszkadza — to twój ciężki wróg i okrutnik. W ten sposób zadławisz najniewinniejszego gospodarza domu. Licz się z tym skrupulatnie, czy twoje bywanie nie ściągają na dom, w którym bywasz, jakichkolwiek przykrości z wnętrza domu idących lub z zewnątrz, choćby od ludzi złych i głupich. Nie usprawiedliwi cię to, gdyby przykrości były niezasłużone albo na nieporozumieniu oparte. Chodzi o to, żeby ich przez ciebie nie było w ogóle. I na to uważaj.

Jeżeli w domu, gdzie bywasz, ktoś ci się nie podoba, pamiętaj, że dom gospodarza nie może być terenem twojej walki, więc nie objawiaj swoich niechęci ani osobie niemiłej, ani gospodarzowi. I nie pociągaj go do odpowiedzialności, jeżeli się do kogoś odnosi życzliwie albo z zaufaniem nie po twojej myśli. Szanuj nie tylko czas, ale tak samo spokój i stosunki towarzyskie domu, w którym gościsz.

Bardzo pospolity rodzaj kradzieży to naruszenie prawa własności autorskiej.

A więc ordynarny plagiat. Przepisywanie całymi ustępami cudzych prac bez podania autora, a pod własnym nazwiskiem. Rzecz dziwna, że dopuszczają się tego nawet ludzie starzy, dobrze wiedzący, jaka hańba na nich za to spada i że się taka rzecz musi wykryć prędzej czy później. Zdarza się autor drama-

tyczny, który bez wstydu i skrupułu kładzie swoim osobom w usta zwroty wzięte z innego autora, spokojny, że się tamten nie upomni. Inny za pieniądze przekręca w kilku miejscach cudzy przekład z języka greckiego i podaje go bezwstydnie za przekład własny. Redaktor poprawia po swojemu zakupiony artykuł i drukuje go z podpisem pożądanego autora. Zaręcza przed tym, że nic nie zmieni bez zezwolenia autora. Autor jest wtedy bezbronny. Wydrukowano mu, czego nie chciał; nie wydrukowano tego, co napisał, a położono jego podpis. Wydawca drukuje bez honorarium autorskiego o parę tysięcy egzemplarzy więcej, niż się zobowiązał, i autor znowu jest bezbronny i obrabowany.

Jeżeli się prace jakiegoś malarza podobają, zaczyna się po sklepach roić od falsyfikatów. Bez końca nafabrykowano fałszywych Kossaków, Axentowiczów, Adamów Styków. Czasem z podpisem fałszowanym ograbionego autora, a czasem z podpisem fałszerza. Bo wystarczy przestawić jedną figurę w obrazie, albo drzewko, albo jakiś inny szczegół w tle, a już można udawać, że to praca własna, tylko przypadkiem tak podobna do cudzej.

Obłamywanie kwitnących jabłoni i bzów w cudzych ogrodach jest zwyczajem prawie że powszechnym, ale to są kradzieże ordynarne — tutaj mówimy o kradzieżach zatruwających życie kulturalne, twórczość naukową i artystyczną.

Nie trzeba uważać za kradzież zależności artystycznej, choćby ona szła tak daleko, jak zależność Słowackiego od Byrona, jak Van Dycka od Rubensa. Jacek Malczewski nie okradał nigdy Matejki,

choć znalazł u niego wzór w upodobaniu do skrótów perspektywicznych i do drobiazgowego opracowania szczegółów formy.

Trzeba, ile możliwości, kradzieże zwalczać i nie znosić ich biernie, kiedy dotyczą naszej własnej osoby. W myśl zasady: kijem tego, kto nie pilnuje swego. Kto biernie znosi kradzież, proteguje złodzieja i przez to samo naraża innych. Jeżeli kasjer jakiegось stowarzyszenia sprzeniewierzy pieniądze składkowe, prezes nie ma prawa przebaczyć mu tego na własną rękę. W grze jest dobro drugich i tego mu nie wolno lekceważyć — z żadnych pobudek.

Tak samo recenzentowi, jeżeli wykryje plagiat.

Poszanowanie cudzej własności zanikło podczas wojny tak bardzo, że osobliwym szacunkiem należy otaczać każdego, kto przy sposobności nie kradnie, i wdzięcznym być każdemu, kto jest tak nieostrożny, że chociaż cię nie zna bliżej, to jednak nie traktuje cię jak złodzieja. Wiele lat będzie musiało upłynąć po wojnie, zanim szkoła powszechna i milicja nauczą ludzi znowu szanować cudzą własność.

O różnych sposobach i odmianach wymuszania nie ma powodu pisać, bo ta książka nie jest przeznaczona dla kanalii, a nikiemność szantażu jest na ogół oceniana jednomyślnie.

To samo o sprzeniewierzeniach.

Omawialiśmy tu zagadnienia mdłe i błahe w porównaniu do tych, które nastrepiły czasy i stosunki wojenne. Człowiek uzbrojony i zawodowo narażony na śmierć nie krępuje się względami na cudzą własność. I prywatnej, i publicznej własności używa bez skrupułu do swojej obrony lub wygody, jak mu się

kiedy podoba. Broni się przy pomocy tych wartości, których miał bronić i które miał ochraniać. Po bibliotekach, kościołach, szpitalach, teatrach, muzeach — zostają tylko osmolone fundamenty. I po domach prywatnych.

Człowiek nieuzbrojony rabuje bez skrupułu opuszczone mieszkania, piwnice i sklepy, mówiąc: „nie wezmę ja, to weźmie drugi, gorszy ode mnie”. Co robić z książką znalezioną w błocie na ulicy niszczonego miasta? I czy godziło się rozgrabić walizkę uwięzionego lub zabitego jubilera, kiedy wpadła nagle do schronu z piwnicy sąsiedniej, bo ściana pękła od wybuchu bomby?

A obdzieranie zwłok, które Grottger piętnował?

XI. POSZANOWANIE CUDZEGO IMIENIA I PRAWDY

OPINIA O CZŁOWIEKU I ON SAM

Każdego człowieka, który żyje z ludźmi, nawiązuje umowy, znajomości, spełnia jakiś zawód lub urząd, wyprzedza i snuje się za nim opinia ludzka. Ludzie mówią o nim dobrze lub źle i od tego zależy w znacznym stopniu jego powodzenie w pracy i w życiu. Ludzie mówią o człowieku źle za jego plecami i opierają się przy tym nie na stwierdzonych, zbadanych faktach, tylko na osobistych wrażeniach, uprzedzeniach, domysłach, na opiniach osób trzecich i czwartych, na własnej słabej pamięci i bujnej wyobraźni. Stwarzają w ten sposób obraz człowieka, który go poprzedza, zanim się jeszcze pokazał w jakimś domu — obraz daleki od rzeczywistości, który go albo przecenia, albo niesłusznie obniża. Ludzie swymi nieodpowiedzialnymi opiniami szyją człowiekowi kostium, którego on sam na sobie nie widzi, a występuje w nim mimo woli i wiedzy. Człowiek niezależny i nie pełniący żadnego urzędu publicznego może sobie niewiele robić z opinii, człowiek zależny powinien wiedzieć, jak bardzo się naraża, jeśli opinię przeciwko sobie wyzywa, i powinien być zawsze gotów ponieść konsekwencje swej niezależności od opinii publicznej. Więc może słuchaczka uniwersytetu uczyć się z kolegą do egzaminu do jedenastej

w nocy w jego mieszkaniu, ale niech będzie przygotowana na to, że ją sąsiadki ogłoszą za jego kochankę i że straci lekcję u pobożnej rodziny i nie dostanie lekcji w klasztorze.

OSZCZERSTWO

Na tle tworzenia się opinii publicznej o człowieku najpospolitszą zbrodnią jest *oszczerstwo* umyślne lub nieświadome. Oszczerstwo to jest podawanie osobom trzecim jakichkolwiek faktów, rysów, cech osoby drugiej, niezgodnych z rzeczywistością a oświetlających drugiego ujemnie w oczach środowiska, do którego dana informacja dochodzi. Oszczerstwa rzuczonego ustnie nie sposób prostować, bo się o nim nie wie, a jeśli wyjdzie na jaw, najczęściej nie można urządzić konfrontacji i dowieść, kto co właściwie mówił, i nie chce się sprawy rozmazywać. Dlatego oszczerstwo jest tak podłym środkiem do niszczenia ludzi niemiłych i znienawidzonych. Ludzie przyzwoici wystrzegają się też skrupulatnie, żeby nawet półsłówkiem, nawet miną lub gestem nie wyrazić albo nie podtrzymać jakiegokolwiek opinii ujemnej, którą ktoś w ich obecności wyraża o osobie nieobecnej. W myśl starej zasady: „O umarłych i o nieobecnych nie mów nic, jeżeli nie możesz mówić dobrze”.

Przyzwoitego człowieka nie odwiedzie od tej zasady argument osobisty: „Miejże do nas, albo do mnie, zaufanie. Ja nie powiem nikomu, a nade wszystko nie powiem osobie dotyczącej”. Na tym przecież polega omotywanie człowieka pajęczynami potwarzy, że się mówi o nim źle pod sekretem, a jego się trzy-

ma w nieświadomości tej opinii, którą się o nim po cichu szerzy.

Chcesz mówić o drugim źle, miejże odwagę mówić to przy nim i daj mu możliwość obrony. Po tym się poznaje człowieka uczciwego, że nigdy o nieobecnych źle nie mówi w towarzystwie.

W szczególności nigdy nie mów źle jednemu z dwóch lub z dwojga przyjaciół o drugim pod pokrywką zaufania, życzliwości, bezinteresowności, pocziwej troski o stronę zagrożoną według twego zdania. Zrazisz sobie wtedy oboje i będziesz wyglądał na intryganta. To znaczy na takiego, który umyślnie, w złym zamiarze, usiłuje poróżnić ludzi sobie bliskich.

A czy nie wolno mi źle mówić o drugich, jeżeli uważam za prawdę to, co mówię?

OBMOWA

Także i wtedy nie, bo możesz się i wtedy mylić i mimo woli dopuścisz się oszczerstwa.

— A jeżeli nie ma o to obawy i jest rzeczą pewną, że ktoś popełnił pewien czyn zły albo posiada pewną wadę?

— Jeżeli mówiąc o kimś źle powiedziałeś prawdę, to dopuściłeś się obmowy.

— Ależ to była prawda!

— Właśnie dlatego była to z twojej strony *obmowa*, a nie oszczerstwo, rzecz niegodziwa z reguły.

— Więc czy nigdy nie wolno o nikim niczego złego powiedzieć?

— Owszem. Niekiedy wolno i trzeba to robić.

— A kiedy?

— Wtedy gdy pobudką jest nie: chęć bawienia się cudzym kosztem, tylko poczucie obowiązku.

Niekiedy obowiązkiem człowieka jest wypowiedać swój sąd o drugich, choćby to był sąd ujemny. Taki obowiązek ciąży na świadku w sądzie, na sędzim i na recenzencie, na wychowawcy i nauczycielu na radzie pedagogicznej i wobec rodziców wychowanka. Tak samo, gdy idzie o doniosłe dobro materialne drugich, jawnie zagrożone. Jeżeliś stwierdził, że ktoś okrada twojego sąsiada albo nastaje na jego życie, powinienes zagrożonego ostrzec, chociaż to popsuje opinię napastnikowi.

Jeżeli cię pytają o opinię o twoim dawnym służącym, który cię okradł, nie rozpływaj się w pochwałach nad jego sumiennością, bo stawałbyś się współnikiem złodzieja.

Z drugiej strony, jeśli ktoś nawet u ciebie kradł, a nawet siedział za to w więzieniu, ale objawia chęć poprawy, zachowuj w tajemnicy jego przeszłość, abyś mu nie zagradzał drogi do uczciwego życia.

WALCZ O SPRAWY, OSZCZĘDZAJ OSOBY

Jeżeli ktoś działa *publicznie* słowem lub drukiem, musi być przygotowany na otwartą publiczną ocenę swoich wystąpień i powinien być wdzięczny każdemu, kto mu rzeczowo wykaże jakikolwiek błąd formalny albo rzeczowy w jego wystąpieniu. Obowiązkiem recenzenta jest pisać otwarcie to, co mu uzasadnione przekonanie dyktuje, bez żadnych względów na osobę cenzora. To można i należy robić z całym

szacunkiem dla osoby piszącej, ale z jeszcze większym dla prawdy.

Każdy artykuł naukowy, każda broszura i książka powinna nosić nazwisko autora, a nie pseudonim. Autor powinien odpowiadać za to, co pisze. Tak samo każda recenzja i artykuł polemiczny. Poniza się sam, kto w odpowiedzi na zarzuty uzasadniane rzeczowo imputuje krytykowi niskie pobudki działania. Ubliżyłby sobie samemu, kto by na takie insynuacje odpowiadał. Człowiek oddany poszukiwaniu prawdy ma ważniejsze rzeczy na głowie niż osłanianie własnej osoby przed gradami błota. Napaści osobiste przenoszą się niekiedy i na teren nauki z areny politycznej, gdzie się do nich przyzwyczajono, niestety. Kto chce, może próbować bronić i swojej osoby i dawać widowisko dla gawiedzi, ale to rzecz niegodna zachodu. Osobliwie nikczemnych napastników należałoby tępić w interesie prawdy i dobrej sprawy, ale to jest czarna robota i niewdzięczna. Trzeba mieć zaufanie do przyszłych pokoleń. I nie dla własnej chwały pracować, tylko po to, żeby prawdzie drogę do głów ludzkich torować. O to chodzi — jednostki są znikome.

CZY PRAWDA OBOWIĄZUJE ZAWSZE?

Małym dzieciom podaje się z reguły zasadę moralną: „Nie kłam nigdy — nawet w żarcie”. Kłamstwo jest to umyślne wprowadzanie drugiego w błąd — wszystko jedno, jakim sposobem: słowem, gestem, zachowaniem się, wyglądem, milczeniem, a nawet

mówieniem zdań prawdziwych, którym drugi na pewno nie uwierzy.

Zasada „nie kłam nigdy” jest jawnie fałszywa i samobójcza. Nie trzyma się jej też nikt z tych, którzy ją głoszą.

Zabronić ludziom wszelkiego wprowadzania kogośkolwiek w błąd, to tyle co zabronić zwierzętom ubarwień ochronnych i form naśladowujących otoczenie, czyli skazać je na śmierć.

W walce o byt niezbędnym środkiem jest maskowanie broni i zapasów, szkód ponoszonych, a czasem i odniesionych zysków. Starsi chcą mieć dzieci zdane ufnie na ich dobrą wolę i chcą, żeby nie miały przed nimi tajemnic, dlatego nie pozwalają im kłamać nigdy. To zrozumiałe, ale nie potrafią świecić im przykładem nigdy, ponieważ muszą się bronić przeciw arogantom, wścibskim, głupim, obłąkanym, natrętom, źle wychowanym, jawnym wrogom i ludziom nieżyczliwym albo podejrzanym. I tego im nie wolno brać za złe. Gdyby człowiek żył w towarzystwie ludzi świętych, dyskretnych i życzliwych, mógłby sobie pozwolić na jawne prowadzenie życia i trzymanie mienia. Ale i wtedy byłby moralnie obowiązany nieraz kłamać. A mianowicie wobec ludzi zbyt słabych na to, żeby zniesli pewne prawdy spokojnie i bez cierpienia. Nieuleczalnie chorych nie godzi się wyprowadzać z błędu, jeżeli w ostatnich dniach choroby czują się lepiej i pytają o potwierdzenie swoich złudnych nadziei. Nie wystarczy wtedy milczeć. Należy im przytakiwać. I nie godzi się mówić prawdy nieszczęśliwemu zakochanemu, który grozi samobójstwem, gdyby mu wybrana nie docho-

wała wiary, a jest rzeczą wiadomą, że ona jest daleka od wierności. Jeżeli prawda ma kogoś zabić, trzeba mu jej oszczędzić i wprowadzać go w błąd. Jeżeli obłąkany grozi nieszczęściem otoczeniu, trzeba go podstępem wywieźć do zakładu i leczyć go podstępem też, bo nie dorósł do prawdy. Do prawdy trzeba doróść i trzeba na nią zasługiwać. Tylko wtedy ma się do niej prawo. Ileż pobożnych kłamstw muszą ludzie popełniać ze względu na pobożne matki, babki, ciotki! I trzeba im to przebaczyć.

Kłamstwa towarzyskie są niezbędne w obcowaniu ludzi z ludźmi. Nie wolno nikomu pozwalać sobie w rozmowie na takie prawdy jak: „Nie podoba mi się pański nos, razi mnie pański głos i sposób ubrania, ma pan też złą dykcję, jest nudny i pospolity”. Byłyby to grube arogancje, niedopuszczalne w obcowaniu przyzwoitych ludzi. Forma nagłówków listowych, powitań i pożegnań towarzyskich jest bardzo często kłamliwa, ale jest obowiązująca. I słusznie. Nie wszyscy umieją się zdobyć na życzliwość i szacunek dla wszystkich nieznanym i nieskompromitowanym, ale dobrze robią wszyscy, którzy tę życzliwość i szacunek udają. Bez tego życie przypominałoby karczmę i pijaków, albo salę chorych podnieconych w domu obłąkanych.

Uprzejme słowo, uśmiech, gładka forma obcowania odróżniają ludzi dobrze wychowanych od barbarzyńców, którzy sobie zawsze pozwalają na szczerłość. Zatem są liczne wypadki, w których kłamstwo jest obowiązkiem przyzwoitego człowieka.

Są inne, w których kłamstwo jest dopuszczalne. Na przykład wobec natrętów i wścibskich, i typów

niedelikatnych wszelkiego rodzaju. Każdy ma prawo kazać oświadczyć nieproszonemu gościowi, że nie ma go w domu, albo mu powiedzieć, że musi zaraz wyjść albo oczekuje kogoś w tej chwili, albo że ma niecierpiące zwłoki zajęcie właśnie teraz. O to się nie wolno obrażać, bo tego rodzaju kłamstwa świadczą tylko o tym, że gość wprowadził gospodarza w kłopot, z którego delikatnym wyjściem było to potoczne kłamstwo.

Nie trzeba dodawać, że kłamstwo bywa szczytnym obowiązkiem w służbie publicznej i w życiu prywatnym. Na przykład kiedy ktoś z narażeniem życia własnego kłamie, żeby ratować życie drugiego. To samo: dla sprawy publicznej. Służba państwowa, a w szczególności wojskowa, obfituje w tego rodzaju wypadki.

Za dopuszczalne trzeba uznać niewinne kłamstwo w żartach, niespodziankach, zabawach, facecjach.

Za pożądane i cenne — w sztukach pięknych. W grze aktora, w pracy malarza, architekta, rzeźbiarza, który dąży do ludzącego wyglądu przedmiotów, jakie stwarza, i w tym leży jego artyzm.

W sztuce zresztą chodzi o złudzenie na niby. Artysta tylko udaje, że kłamie, bo o to go proszą, a odbiorca udaje, że jest w błędzie, bo to mu przyjemne. Wiedza człowieka inteligentnego nie ponosi szkody pod wpływem dzieł sztuki. Nikt się nie uczy geografii z *Pana Tadeusza* ani historii religii z *Quo vadis*.

Kłamstwo zaczyna być zbrodnią dopiero tam i wtedy, gdy ktoś wszedł z drugim lub z drugimi w przy mierze i zobowiązał się mówić wobec nich prawdę.

Oni mają wtedy prawo pytać go i polegać na jego słowach. Jeśli wtedy kłamie, staje się oszustem, zdrajcą, przeniwiercą. W takie przymierze wchodzi z odbiorcami każdy człowiek pracujący naukowo, nauczyciel, rzeczoznawca, kupiec w sprawach wartości towaru, który sprzedaje, każdy urzędnik i żołnierz w zakresie swego zawodu, każdy, kto wymaga dla siebie zaufania i przyjmuje odpowiedzialność za powierzone mu dobro jako przyjaciel, sprzymierzeniec, pomocnik, towarzysz, współnik, pełnomocnik. Kłamstwo jest złe dopiero jako nadużycie uprawnionego zaufania, jako złamanie przyjętego obowiązku.

Sąd narzuca ten obowiązek świadkom, a władza podatkowa podatnikom pod groźą ciężkich kar. Każde państwo jest spółką przymusową, która uchodzi za dobrowolną. (Lepsza spółka przymusowa niż anarchia.)

Kłamstwo jest tym podlejsze, im większe zaufanie ktoś dla siebie wyłudził oraz im większe dobra ktoś na tym zaufaniu zawiesił. Bo tym cięższą krzywdę ponosi wtedy okłamany.

Tak więc kłamstwo może mieć bardzo różne wartości na skali oceny moralnej. Może być szlachetne, dobre, obowiązujące, dopuszczalne, obojętne etycznie, a może być złe, nikczemne, haniebne.

Człowiek przyzwoity unika kłamstwa w życiu, ile tylko może. Jeżeli musi skłamać, odczuwa to jako ciężar, jako upokarzający i nieznośny przymus. Każde kłamstwo wymaga nieprzewidzianego łańcucha innych, aby szczególnie zmyślony włączyć w tkaninę rzeczywistości, jak sztuczną cerę w ubraniu, aby

nie odbijała. To jest żmudna robota i z reguły skazana na niepowodzenie. Wykryte kłamstwo rzuca ujemne światło na charakter kłamcy i jego stosunek do sprawy i do ludzi okłamanych. Stawka zazwyczaj zbyt duża i gra nie warta świeczki.

I to grozi kłamcy, że ludzie mu nie powiedzą, że stracił ich zaufanie, tylko przez ostrożność albo przez delikatność udają dalej, że mu wierzą, i tak kłamca wpada we własne sieci, nie wie, że go okłamują ci, których on sam chciał oszukać. Tak na przykład, kiedy ktoś blaguje o swoich przewagach, zaletach, stosunkach, zazwyczaj bierze się to pozornie za dobrą monetę.

Jeżeli idzie o pobudki kłamstwa, to każdy, kto kłamie, robi to dlatego, że albo chciał coś zyskać, albo obawiał się coś stracić. Chciał dogodzić albo swej chciwości, albo nienawiści, albo ambicji, albo puszczął wodze fantazji, albo się okłamywał przy tym sam. Nie zawsze idzie o pieniądze. Nie zawsze nawet o jakieś podniesienie lub ochronę własnej osoby. Często ludzie kłamią z litości, przez delikatność, z dobrego serca, aby kogoś nie martwić niepotrzebnie, aby mu oszczędzić jakiegoś bólu, którego odwrócić nie mogą. Nie trzeba się o to gniewać, choć można sobie to wyprosić.

Wielu kłamstw ze strony osób bliskich unikniesz, jeżeli będą czuły, że cię ich prawda nie zrani zbyt boleśnie i nie zabije, i nie zrazi do nich całkowicie, choćby ci była przykra. Jeżeli narzucasz ludziom obowiązki nad ich siły, jeżeli na każde niedociągnięcie reagujesz gwałtem, gniewem, cierpieniem, sceną i nie umiesz przebaczać, zasiejiesz sam kłam-

stwo około siebie. Wtedy też sobie samemu przypisz część winy.

Wszyscy jesteśmy i zostaniemy niedoskonali. Więc bądź wyrozumiały dla niedociągnięć, zaniedbań i wad ludzkich, niech podwładni i bliscy twoi wiedzą, że głowy im nie urwiesz, ani sobie życia nie odbierzesz w razie jakiegoś przestępstwa nieuniknionego z ich strony, a będą mieli odwagę, przyznawać się w danym razie, zamiast sięgać do wykrętów i kłamstw. Zasłużysz wtedy na „prawdę” ze strony typów lepszych.

To nie oznacza wcale bezkarności i dezorganizacji. Funkcjonariusz, który pobłądził, sam się zgłosi do poniesienia kary, a odbywszy ją zachować winien szacunek ze strony przełożonego. W każdej organizacji musi być miejsce dla rozumnego wybaczenia i zmywania win.

Tak się w najbardziej ogólnikowym zarysie przedstawia sprawa prawdy i kłamstwa w stosunkach ludzkich.

XII. DOTRZYMYWANIE ZOBOWIĄZAŃ

WADA NAGMINNA

Są osoby i grupy ludzkie, a nawet mówią, że są takie narody, w których na nikim polegać nie można. Ludzie uśmiechnięci albo poważni, nie wyglądający na wrogów, ani oszustów, przyrzekają bez wielkiego namysłu to lub owo, ale gorzki zawód ma ten, kto im wierzy, polega na ich słowie i liczy się z nim przy układaniu swoich interesów i zajęć. Malarz pokojowy obiecał zacząć robotę we czwartek o ósmej rano i opróżniło mu się pokój już we środę wieczór. Nie przyszedł. Dopiero pod noc przyniósł narzędzia i zostawił. Posyłało się do niego w piątek. Obiecał przyjść za godzinę. Nie przyszedł. Zaczął robić dopiero w sobotę, nie dokończył i odłożył robotę do poniedziałku. We wtorek dopiero robi. Kolor był umówiony, ale wypadł inaczej. Zapłata była umówiona, ale majster się przeliczył i żąda dopłaty nieprzewidzianej.

To samo robi ślusarz, monter, krawiec, stolarz i każdy ma przy tym dobrą minę. Jeżeli mu robić wyrzuty, uważa, że go spotykają dzikie pretensje, i jest obrażony. Żaden się nie poczuwa do obowiązku, żeby dotrzymać terminu i warunków umowy. W najlepszym wypadku prosi, żeby mu coś dodać, w gorszym przedstawia się jako pokrzywdzony, oszukany, wyzyskany. Przeliczył się, powiada.

Pożyczył ktoś książkę na parę dni, ale jej nie może znaleźć, bo mu się gdzieś zapodziała. Może ją ktoś od niego pożyczył, może skradł, może ona gdzieś wpadła, może się znajdzie przy sposobności — trudno, niech właściciel poczeka, złej woli nie było u pożyczającego.

Umówił się ktoś z trzema innymi osobami na ważne posiedzenie na piątek na ósmą wieczór. Siedzą trzej, rzucili swoje zajęcia i czekają, a czas tracą. Po dwóch godzinach odszukują go przy pomocy telefonu na mieście. Ma dobrą minę, powiada, że się gdzieś zagadał bardzo przyjemnie i tak mu czas zszedł. Teraz już jest za późno, ale na drugi tydzień o tym samym czasie przyjdzie na pewno. I na drugi tydzień robi to samo, i ma przy tym równie dobrą minę, jak w tygodniu poprzednim.

To samo z umowami na lektury, na wycieczki, na zabawy.

Do wyjątków należą ludzie punktualni, do wyjątków ci, którzy uprzedzają i tłumaczą się z niemożności przybycia na czas. A to dyktuje najprostsze poszanowanie czasu drugich ludzi i najprostszy szacunek dla nich. Nikt sobie nie zdaje sprawy z tego, że człowiek niepunktualny jest złodziejem i arogansem. I nikomu nie można tego powiedzieć, bo się ciężko obrazi. Ludzie myślą, że gdzie nie ma złego zamiaru, tam też nie ma złego czynu. I myślą się grubo. Wiele złego dzieje się przez zaniedbanie obowiązków bez żadnego złego zamiaru. Nie może być uczciwy człowiek chorobliwie roztargniony, zapominalski, a nade wszystko człowiek lekceważący swoje zobowiązania.

Szanujący się człowiek, jeżeli coś przyrzeka, nie daje słowa honoru i nie przysięga, tylko dotrzymuje zobowiązania po prostu, bez żadnych szczególnych zaklęć.

JAK NA TO RADZIĆ?

Żeby to zawsze móc zrobić, trzeba przede wszystkim nie przyjmować nigdy zobowiązań, których się nie chce dotrzymać. To byłoby oszustwo. Po drugie, nie przyjmować zobowiązań, kiedy się nie jest pewnym, że się ich dotrzyma. Więc liczyć się z własnymi możliwościami i nie brać zobowiązań nad siły.

Jeżeli mimo to dotrzymać umowy nie można, rzec się umowy, uprzedzić drugich i przeprosić, objawić to, że się szanuje zobowiązanie i tych, wobec których się zobowiązanie przyjęło. To jest obowiązek najprostszej uczciwości.

Nie przyrzekaj nikomu pod wpływem serdeczności złotych gór, ale każdej umowy dotrzymaj.

Łatwo zrozumieć, że tylko z takimi ludźmi można jakoś organizować życie własne i jakiekolwiek przedsięwzięcie zbiorowe. Obowiązkowość, słowność, sumiennosc, to nie są cnoty heroiczne, tylko najprostsze obowiązki w pożyciu z ludźmi, a wszystkie polegają na jednym: na poszanowaniu przyjętych zobowiązań.

To samo wierność, to, że się nie zostawia towarzysza w potrzebie jego własnemu losowi, jeżeli się ma siły i ręce wolne. Kto się z drugim wybiera na wycieczkę górską, ten się milcząco zobowiązuje do solidarności. Nie wynika z tego, żeby sobie miał ży-

cie odbierać, kiedy się drugi zabił, tylko wynika to, że go w razie wypadku ratować powinien tak, jak siebie samego. Dlatego uważaj, z kim się na wycieczki wybierasz, i jeśli ważysz zbyt wiele, a chodzisz źle, nie obciążaj swoim towarzystwem nikogo, abyś mu nie kładł na barki odpowiedzialności nad siły.

I spółki życiowej nie zawieraj z kimś, kto by zbyt wielkie ofiary musiał ponosić, aby ci dotrzymać kroku i dochować wierności.

I nie żądaj wierności i osobliwej solidarności od kogoś, kto ci jej nie przyrzekał albo się wyraźnie przeciw niej zastrzegł. Tak niejeden sublokator wynajmuje tylko łóżko w kącie, a później ma pretensję do dwóch pokojów, kuchni, strychu i piwnicy, ponieważ ich potrzebuje, i „krzywdzą” go ci, co pamiętają warunki umowy i chcą przy nich zostać.

Nie wolno ludziom narzucać obowiązków, których się nie podejmowali.



SPIS RZECZY

Od wydawcy	5.
I. Co to jest etyka i potrzeba etyki świeckiej	9.
II. Stosunek etyki religijnej do świeckiej	17.
III. Determinizm a odpowiedzialność moralna	22.
IV. O relatywizmie etycznym	38.
V. Pobudki postępowania etycznego	48.
VI. Sumienie i praca nad sobą	57.
VII. Rodzice i dzieci	66.
VIII. Poszanowanie życia i zdrowia	80.
IX. Poszanowanie życia osobistego	99.
X. Poszanowanie cudzej własności	134.
XI. Poszanowanie cudzego imienia i prawdy	144.
XII. Dotrzymywanie zobowiązań	155.

REDAKCJA BIBLIOTEKI KLASYKÓW FILOZOFII • PWN

Nakład 5000+250 egz. Ark. wyd. 6,75. Ark. druk. 10.
Papier druk. sat. kl. III 80 g, 82×104. Oddano do
składu 11. VII. 60 r. Podpisano do druku w sier-
pniu 60 r. Druk ukończono we wrześniu 60 r.
Zam. nr 346/A/60. R-30. Cena zł 24,—

ŁÓDZKA DRUKARNIA DZIEŁOWA, Łódź, ul. Piotrkowska 86



Pedagogiczna Biblioteka Wojewódzka
w Gdańsku

28146



28146